W numerze m. in.: JERZY DOSTATNI — Dzień na budowie, ZDZISŁAW CACKOWSKI — Dobry nauczyciel to nie megafon, JULIUSZ WILLAUME — W 150 rocznicę śmierci J. H. Dąbrowskiego, EDMUND SKARŻYŃSKI — Pamiętnik spod strzechy, Od Szewczenki do Tyczyny.

CENA 2 ZŁ

LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

Kamena

LUBLIN 26.V.1968 Nr 11 (392) R. XXXV DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Wychodzi od 1933 r.

ZBRODNIA W STASINIE

Romuald Wiśniewski

To już 25 lat upłynęło od dnia, w którym zamordowano Rutkowską. W Stasinie nie pamiętają dokładnej daty, mylą imiona i przekręcają nazwiska ludzi, którzy brali udział w tym dramacie, mieszają drobne fakty. Ale o samym wydarzeniu, o tym, że gromada ludzi podjęła się tu odważnego, ryzykownego zadania i że tu popełniono zbrodnię, wiedzą wszyscy i chętnie dzielą się tymi wiadomościami.

KOLONIA Stasin Dolny znajduje się w gromadzie Siedliszcze w powiecie chełmskim, mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Piaskami Luterskimi a Chełmem Lubelskim. Domostwa porozrzucane są luźno po południowej stronie tej drogi. Po minięciu Chełma droga przechodzi nad Bugiem i wiedzie do Kowla. Dodajmy jeszcze, że kilka kilometrów od Stasina znajduje się Rejowiec, który jest ważnym węzłem kolejowym.

To usytuowanie kolonii pomiędzy ważną drogą bitą a ważną drogą żelazną wpłynęło zapewne decydująco na losy bohaterów naszego reportażu.

W Stasinie półtorahektarowe gospodarstwo prowadził Michał Rutkowski, urodzony w roku 1902. Ziemia była własnością jego żony Zofii z domu Wasylko, urodzonej w roku 1904. Mieli troje dzieci: Tadeusza, Alfredę i Edwida. W obejściu stały dwa domy: jeden zajmowany był przez nich, drugi przez matkę Rutkowskiej, (też Zofię) — Wasylkową i jej drugą córkę Marię. Syn Marii, Stefan, wychowywany był przez Rutkowskich, na Michała mówił „ojcze", na Zofię „mamo", a na swoją matkę „ciociu". I starsza Wasylkowa i Rutkowski pochodzili z rodzin niegdyś zamożnych, a zubożałych w wyniku pierwszej wojny światowej, stąd też może te rzadko spotykane na wsi, trochę pretensjonalne imiona ich dzieci. Głównym źródłem utrzymania Rutkowskich i Wasylków było najmowanie się do pracy u bogatszych rolników, zbieranie grzybów, jagód itp. Mimo to cieszyli się dużym autorytetem i szacunkiem sąsiadów i znajomych. Wasylkowa znała cztery języki obce, w tym rosyjski i niemiecki biegle.

Jest początek lata 1942 roku. Białnożycha (tak nazywano tu starszą Wasylkową) z czwórką wnucząt zbierała poziomki w lesie Narożniki. Spotkali młodego mężczyznę, ubranego podobnie jak noszono się wtedy na wsi: buty z cholewami, marynarka, cyklistówka. Tyle, że rozpięta marynarka ukazywała szeroki pas z zatkniętymi zań dwoma granatami na długich trzonkach, a przez plecy mężczyzna miał przerzucony automat. No, „leśny człowiek" — jak to się wtedy mówiło. Partyzantów w okolicy jeszcze się nie spotykało, gdyż teren nie sprzyjał takiej działalności. Lasów niewiele, a w pobliżu kilka silnych garnizonów niemieckich. W dodatku drogą i koleją jechały bez przerwy transporty wojskowe na wschód.

(Dokończenie na str. 6)

1 czerwca - Dzień Dziecka Fot. A. Polakowski

Między startem a metą

Stanisław Burakiewicz

MUSZĘ się przyznać do brzydkiego uczucia zazdrości. Ogarnia mnie ono zawsze wtedy, gdy widzę, jak na stadionach lub w halach sportowych dekoruje się medalami i obsypuje kwiatami zwycięzców. Szczególnie zazdrość ta daje o sobie znać, gdy nasi sportowcy zwyciężają poza granicami kraju. Ale szpileczka zazdrości wysuwa się nawet wtedy, gdy rzecz rozgrywa się w małym miasteczku lub nawet zwykłej wsi.

Myślę, że nie ja jeden wśród kibiców odczuwam ową chmurkę zazdrości. U mnie dochodzi do głosu jeszcze inne przykre uczucie — że to już... nie te lata. Ale wśród widzów jest zawsze pokaźna, jeżeli nie przeważająca część młodych ludzi. Może nie wszyscy mają warunki, aby zostać wybitnymi sportowcami, ale wszyscy chcieliby stać na podium zwycięzców. Ten zaś, który w danej chwili na tym podium wznosi radośnie ręce, jest dla tej młodej widowni niemal wcieleniem ideału. Ci najmłodsi chcieliby swój ideał naśladować we wszystkim.

Sport nie jest czymś, co wisi w próżni. Oddziaływuje na inne dziedziny naszego życia, one wpływają na sport. I dlatego ze smutkiem czytałem w „Kamenie", „Kulturze", „Polityce" czy „Kierunkach" liczne artykuły i dyskusje na temat etyki w sporcie, wychowania zawodników. Ten ostatni problem również nie jest oderwany od reszty życia. Marzec pokazał, że w dziedzinie wychowania naszej młodzieży istnieją poważne luki. Myślę, że w wychowaniu naszej młodzieży, zajmującej się sportem, są one jeszcze większe. A główne niebezpieczeństwo polega na tym, że w owej fascynacji na boiskach i w halach brak świadomości, brak chociażby odczucia, iż dobry zawodnik jest, czy powinien być równocześnie nie tylko przyzwoitym człowiekiem, ale i czynnym współbudowniczym naszego socjalistycznego państwa. Współbudowniczym na boisku, w zakładzie pracy, w życiu prywatnym.

Przez wiele lat narzekaliśmy w Lublinie na niski poziom przygotowania ogólnego i fachowego trenerów i instruktorów. Myślę, że kryzys w tej dziedzinie jest już przełamany. Mamy w województwie 57 trenerów, z których 34 posiada wyższe, a 22 średnie wykształcenie, zaledwie 1 — podstawowe. Nieco gorzej jest, oczywiście, wśród instruktorów — 43 legitymuje się wykształceniem wyższym, 97 — średnim, a 12 — podstawowym. Wśród tych z dyplomami wyższych uczelni są nie tylko absolwenci AWF, ale także inżynierowie, lekarze, magistrowie różnych specjalności. Wprawdzie w pięciu dziedzinach — strzelectwie, szachach, szermierce, zapasach i żeglarstwie — nie mamy ani jednego trenera, w strzelectwie i szermierce tylko po jednym instruktorze, ale to już jest strona czysto techniczna, o której dziś nie chcę pisać.

Jakie natomiast jest przygotowanie kadry trenersko-instruktorskiej do wychowywania młodych ludzi, do kształtowania ich oblicza moralnego, politycznej świadomości, współuczestnictwa w budowaniu socjalistycznej ojczyzny?

Prawdę powiedziawszy, nikt sobie dotychczas takiego pytania nie zadawał i po prostu w ogóle nie wiemy, jak te sprawy wyglądają w klubach czy powiatowych komitetach kultury fizycznej i turystyki. Wystarczy jeden przykład, wcale nie odosobniony. Może nawet powszechny. W klubie „Motor" biega długodystansowiec, członek kadry narodowej. Jego codzienny trening to 20 km. Potem ma korzystać z ciepłego natrysku w fabryce. Kiedyś popsuł się hydrant i nie było możliwości, aby go szybko naprawić. Nikt się tym nie przejmował. Piłkarzy natomiast, którzy są oczkiem w głowie członków zarządu — po każdym treningu wozi się samochodem do kąpieliska przy ul. Bronowickiej. Aby się przypadkiem nie przemęczyli i nie zakurzyli dodatkowo! A na prelekcje o charakterze ideowym czy politycznym dla tychże piłkarzy w ciągu całego roku nie wydano ani jednego grosza!

W każdym zarządzie klubu są teoretycznie ludzie, odpowiedzialni także za sprawy wychowawcze. Pomińmy tu fakt, że dotychczas w pojęciu słowa „wychowanie" bardzo często nie mieściły się sprawy świadomości politycznej. Faktem natomiast jest, że na posiedzeniach zarządów z reguły mówi się tylko o wynikach sportowych, wykłóca o składy na przyszłe spotkania czy zagraniczne wojaże, natomiast niezmiernie rzadko dyskutuje się na temat nawet tych zawężonych spraw wychowawczych. Często w klubach bywa tak — łatwo to przecież sprawdzić — że połowa sportowców nie zna chociażby z widzenia połowy członków zarządu. Jakże więc tu mówić o oddziaływaniu zarządu klubu na jego członków?

Lubelski WKKFiT w 1957 r. zorganizował kurs szkoleniowy I stopnia dla kadry trenersko-instruktorskiej LZS-ów i sekcji lekkoatletycznych. 12 osób brało udział w tego typu szkoleniu na szczeblu centralnym — w obu wypadkach mówiono także o zagadnieniach psychologii i pedagogiki. Podobną akcją obejmuje się obecnie działaczy. Bardzo to się chwali, ale przecież zadowolić nie może. Po pierwsze ze względu na zbyt małą liczbę uczestników, po drugie nie chodzi tylko o psychologię i pedagogikę, ale także o wyraźne, konsekwentne kształcenie polityczne, profilowanie właściwej postawy ideowej. Starą, ale nie nazbyt często przestrzeganą prawdą jest, że sport to nie tylko wyniki sportowe, ale także osiągnięcia życiowe, że wyniki na boisku czy w hali zależą nie tylko od treningu, zawieszonego w abstrakcji od rzeczywistości, ale i od miejsca, jakie się w tej rzeczywistości zajmuje, od poczucia wartości własnego ja, które jest częścią społeczeństwa, żyjącego w określonych warunkach. Zrozumiano to w pewnym stopniu już przed laty, gdy zaczęto kłaść coraz większy nacisk na przygotowanie sportowców do przyszłej pracy zawodowej. Ale smutne i jałowe byłoby życie tysięcy naszych młodych obywateli, gdyby najpierw ograniczało się tylko do wyników, a potem jedynie do pracy zawodowej. W obu wypadkach nie tylko wysiłek mięśni czy wykorzystanie posiadanych wiadomości fachowych decydują o społecznej wartości człowieka. Zaangażowanie, świadome zaangażowanie to nie samosiejka. Nad tym trzeba pracować od wczesnej młodości, samemu i przy pomocy innych.

Proszę przejrzeć sobie w bibliotekach oba dzienniki lubelskie z okresu zeszłorocznej Spartakiady. Komentarze na temat wyników lubelskich sportowców były pochwalne. Zresztą raczej krótkie, stereotypowe, nie sięgające do źródła problemu. Dopiero WKKFiT oraz działająca w nim organizacja partyjna oceniły wyniki jako złe, wskazując jako podstawowe źródło takiego stanu rzeczy poważne zaniedbania w dziedzinie wychowawczej. Dlaczego dziennikarze sportowi nie zajęli się tym problemem, mając przecież gotowe podstawowe informacje?

(Dokończenie na str. 10)

teatrnn.pl

Kultura 1968

Literatura

✡ Na V Festiwalu Poezji Współczesnej w Szczecinie nagrodę za najlepszy tom krytyki poświęcony poezji otrzymał Jan Błoński.

✡ W czerwcu br. krakowskie Wydawnictwo Literackie obchodzi jubileusz 15-lecia. W roku 1953 ukazała się pierwsza książka nakładem tego wydawnictwa — „Wybór poezji" Adama Asnyka. Od tego czasu WL wydało przeszło 1200 tytułów o łącznym nakładzie ok. 15 mln egzemplarzy.

✡ Dotychczas znane były dwie rękopiśmienne kopie zabytku staroruskiej literatury przekładowej — tłumaczenia na siedemnastowieczny język rosyjski dzieła Andrzeja Frycza-Modrzewskiego „De Republica emendanda". Obie pochodzą z końca XVII i początku XVIII wieku i przechowywane są w muzeum historycznym w Moskwie. Ostatnio odnaleziona została w zbiorach rękopisów Biblioteki Publicznej im. Saltykowa-Szczedrina w Leningradzie trzecia kopia, która otrzymała nazwę kopii Olenina, takie nazwisko nosił bowiem ofiarodawca całej kolekcji staroruskich manuskryptów.

✡ Wśród tegorocznych laureatów Nagród Leninowskich „Za utrwalanie pokoju między narodami" znaleźli się pisarz kolumbijski Jorge Zalamea Borda oraz rysownik francuski Jean Effel.

✡ W Oxfordzie odnaleziono nie znany dotychczas przekład pism Stefana Żeromskiego. Jest to dwunastostronicowa broszura zawierająca wczesne angielskie tłumaczenie opowiadania Żeromskiego „Rozdziobią nas kruki, wrony", zatytułowane „The crows and the ravens. A story of revolutionary Poland. By Maurice Zych. Transladet by mrs. Galin. Oxford 1906". Przekład wyszedł spod prasy jednej z drukarni oxfordzkich — „Vincent, Pritner, High street" i przeznaczony był dla księgarni Sheley Bookshop.

✡ W Moskwie kończy się druk czterotomowego kompletnego wydania powieści Hemingway'a.

✡ Wybitna pisarka radziecka Marietta Szaginian obchodziła 80 rocznicę swych urodzin. W swym bogatym dorobku twórczym ma wiele powieści, prac krytycznych, poezje, scenariusze filmowe i sztuki teatralne, a także artykuły i reportaże. Sędziwa pisarka, której jubileusz obchodzono niedawno w Moskwie, od dłuższego już czasu pracuje nad cyklem powieści o rodzinie Uljanowych.

✡ Paryski wydawca Pierre Jean Osvald przystąpił do edycji cyklu „Poezja krajów socjalistycznych". W poszczególnych tomikach tej serii będą publikowane utwory najwybitniejszych poetów z tych krajów. Ukazał się już zbiorek pt. „Siedemnastu poetów NRD".

✡ Nakładem wydawnictwa „Kamieniar" we Lwowie ukazało się ostatnio szereg utworów polskiej literatury klasycznej i współczesnej w przekładzie na język ukraiński. Wyszły m. in. „Utwory wybrane" Konopnickiej, „Placówka" Prusa, „Komediantka" Reymonta, „Kordian i cham" Kruczkowskiego i „Powrót z gwiazd" Lema. Wśród tłumaczy większości pozycji znajduje się lwowski poeta — Antoni Szmigielski.

✡ W Hiszpanii nie przyznano dorocznej nagrody literackiej Urreza za najlepszy romans. Jury uznało, że żadna z książek nie zasługuje na nagrodę.

Teatr

✡ Festiwal teatrów Polski północnej w Toruniu odbędzie się w dniach 15—23 czerwca. W imprezie weźmie udział 9 teatrów.

✡ 10-lecie istnienia obchodził w kwietniu polski Teatr Ludowy we Lwowie, skupiający artystów-amatorów. Na jubileusz zespół przygotował cykl premier: „Warszawiankę" Wyspiańskiego, „Antygonę" Anouilha oraz jednoaktówki Mrożka „Karol" i „Na pełnym morzu". Reżyserem teatru jest Zbigniew Chrzanowski, pracownik lwowskiego ośrodka TV. Zespół został założony przez nieżyjącego już dziś nauczyciela szkoły średniej — prof. Piotra Hausvatera.

✡ Na Łotwie chodzi się do teatru częściej niż w innych radzieckich republikach. Na każdy tysiąc mieszkańców Łotwy w ciągu roku przypada 940 sprzedanych biletów teatralnych. Łotewski teatr obchodzi w tym roku jubileusz 100-lecia istnienia.

✡ Jeden z teatrów londyńskich wystawił „Edypa" według Seneki w reżyserii Peter Brooka. Większość krytyków uznaje to przedstawienie za największy ewenement teatralny ostatnich lat. Kontrowersje budzi tylko finał, gdy wszyscy aktorzy, poprzedzani orkiestrą jazzową, przechodzą przez salę. Brook twierdzi, że za czasów Seneki każdy spektakl kończył się taką defiladą, krytycy dodają: ale wtedy nie było jazzu.

✡ Sztuka teatralna Tony Stepparda „Rosenkrantz i Guildenstern umarli" otrzymała nagrodę teatrów nowojorskich jako najlepsza sztuka roku.

Sztuka

✡ W V Turnieju Wiedzy o Sztuce, zorganizowanym przez CBWA, w punktacji zespołowej zwyciężyła Warszawa, drugie miejsce zdobyła młodzież z Lublina. Uczeń lubelskiego Liceum im. Staszica Piotr Rudziński zdobył ex aequo trzecie miejsce.

✡ 665 prac 50 artystów z 11 krajów nadesłano na wystawę exlibrisu współczesnego w warszawskim Muzeum Narodowym.

✡ Podczas prac porządkowych w parku pałacu w Piątkowie pod Gołubiem znaleziono 60 przedmiotów ze srebra, z których większość ma dużą wartość artystyczną.

✡ Na przełomie czerwca i lipca odbędzie się w Płocku Festiwal Folklorystyczny Ziem Nadwiślańskich W programie m. in. koncerty na dawnych instrumentach ludowych, wystawy rzeźby, pokaz strojów regionalnych, kiermasz pamiątek.

✡ Bardzo gorąco przyjmowany przez publiczność, Centralny Zespół Artystyczny Wojska Polskiego dał w Czechosłowacji 11 koncertów.

✡ Wszechzwiązkowa Biblioteka Literatury Obcej w ZSRR od dłuższego czasu kontynuuje — przy bardzo wysokiej frekwencji słuchaczy — cykl odczytów w językach polskim i rosyjskim, poświęconych naszej literaturze i sztuce. Jednym z wybitniejszych prelegentów jest Łarysa Tananajewa, autorka monografii o Aleksandrze Gierymskim i Tadeuszu Kulisiewiczu. Zdaniem Tananajewej w polskiej plastyce współczesnej grafika odgrywa rolę przodującą. W tej właśnie dziedzinie trwa nieustanne poszukiwanie nowych środków wyrazu. Polska grafika książkowa, zwłaszcza w dziedzinie książek dla dzieci, to osiągnięcia na miarę światową.

✡ Ogromnym powodzeniem cieszy się otwarta w Moskwie wystawa prac malarskich kosmonauty A. Leonowa i plastyka specjalizującego się w tematyce „kosmicznej" A. Sokołowa pn. „Oczekujcie nas gwiazdy". Codziennie salę Związku Plastyków RFSRR, gdzie eksponowana jest wystawa, odwiedza 800 osób.

✡ Znakomity malarz hiszpański, Juan Miro, obchodził ostatnio 75 rocznicę urodzin. Stojący na pograniczu surrealizmu i romantycznej abstrakcji artysta mieszka obecnie na Majorce, tworząc niestrudzenie znakomite, budzące podziw w całym świecie dzieła, do których inspirację czerpie ze sztuki Inków i Majów, rysunków z grot, sztuki ludowej rodzinnej Katalonii, a także rysunków dzieci.

Muzyka

✡ Młoda pianistka warszawska, Ewa Osińska, na międzynarodowym konkursie pianistycznym w Neapolu zdobyła II nagrodę (I nie przyznano).

✡ 16 czerwca rozpocznie się w Międzyzdrojach III doroczny Festiwal Pieśni Chóralnej. Będzie to zarazem początek „Kulturalnego lata 1968" na zachodnim wybrzeżu.

✡ Primadonna Operetki Warszawskiej Wanda Polańska oraz często gościnnie występujący na tej scenie Romuald Spychalski zostali zaproszeni do Operetki Moskiewskiej, gdzie wezmą udział w przedstawieniach „Wesołej wdówki" Lehara.

✡ Pierwszym basem Opery Królewskiej w Brukseli jest Polak, Tadeusz Wierzbicki. Ostatnio po raz drugi przebywał on w kraju, śpiewając z dużym sukcesem w Poznaniu, Łodzi, Warszawie i w telewizji.

Różne

✡ Poczynając od 25 listopada 1952 r. do dnia dzisiejszego nieprzerwanie (a więc piętnaście lat!) grana jest na scenie londyńskiego „Ambassadors-Theater" sztuka Agaty Christie pt. „Pułapka na myszy". W ciągu każdego tygodnia wystawianych jest osiem spektakli. Na każdym komplet publiczności. W ciągu piętnastu lat obejrzało sztukę 2,3 mln osób. Obsada aktorska (w sztuce jest osiem ról), rzecz jasna, nie jest ciągle ta sama. Na scenie teatru londyńskiego przewinęło się już w tym czasie 104 aktorów.

✡ Powieści na tematy związane z medycyną cieszą się w USA niezwykle dużą popularnością. Rekord poczytności w tej dziedzinie stanowią powieści Franka Slaughtera — 16 milionów egzemplarzy po wojnie. Trzeba jednak dodać, że autor głównie zajmuje się albo sprawami seksu, albo różnych zwyrodnień.

✡ Żona kompozytora greckiego Xenakisa Francuzka Francoise wydrukowała w Paryżu romans, w którym na zmianę jedna linijka jest drukowana czarną farbą, następna czerwoną. Czytać można albo „jak leci", albo tylko linijki czerwone, albo tylko czarne i rzekomo za każdym razem wszystko ma sens.

Film

✡ Rzadkie, często unikalne zdjęcia oraz dokumenty dotyczące życia i działalności Karola Marksa znalazły się w nowym filmie dokumentalnym poświęconym twórcy naukowego socjalizmu. Utwór ten zrealizowany został w centralnym studio filmów naukowo-popularnych w Moskwie przez reż. reż. Annę Kosaczewą i Andrzeja Cynamena. Autorzy stworzyli — jak podkreśla prasa radziecka — nie tylko biografię filmową autora „Kapitału", ale zarazem film będący „rozmyślaniem o zwycięskim pochodzie idei Marksa". Na ekranie ukazano rozwój ruchu robotniczego na całym świecie oraz zwycięstwo idei marksizmu-leninizmu w Związku Radzieckim i innych krajach socjalistycznych.

✡ Na wniosek POP przy Zjednoczonych Zespołach Realizatorów Filmowych odwołano kierowników artystycznych i literackich oraz szefów produkcji wszystkich ośmiu istniejących zespołów, a reż. Al. Forda wykluczono z szeregów PZPR.

✡ Telewizja norweska zaprezentowała ostatnio polski film o Marii Curie-Skłodowskiej. Dziennik „Arbeiderbladet" zamieścił z tej okazji życiorys wielkiej uczonej.

Twierdzę, że wytwarza się nowy typ kobiety, która nie jest podobna ani do Brigitte Bardot, ani do Lollobrygidy, ani nawet do Liz Taylor — twierdzi 24-letnia Marilu Tolo, która w kilku małych rólkach próbuje lansować nowy typ wampa. Czy z powodzeniem?

PLASTYCY BIAŁOSTOCCY

Stefan Rybl: Z cyklu „Materie"

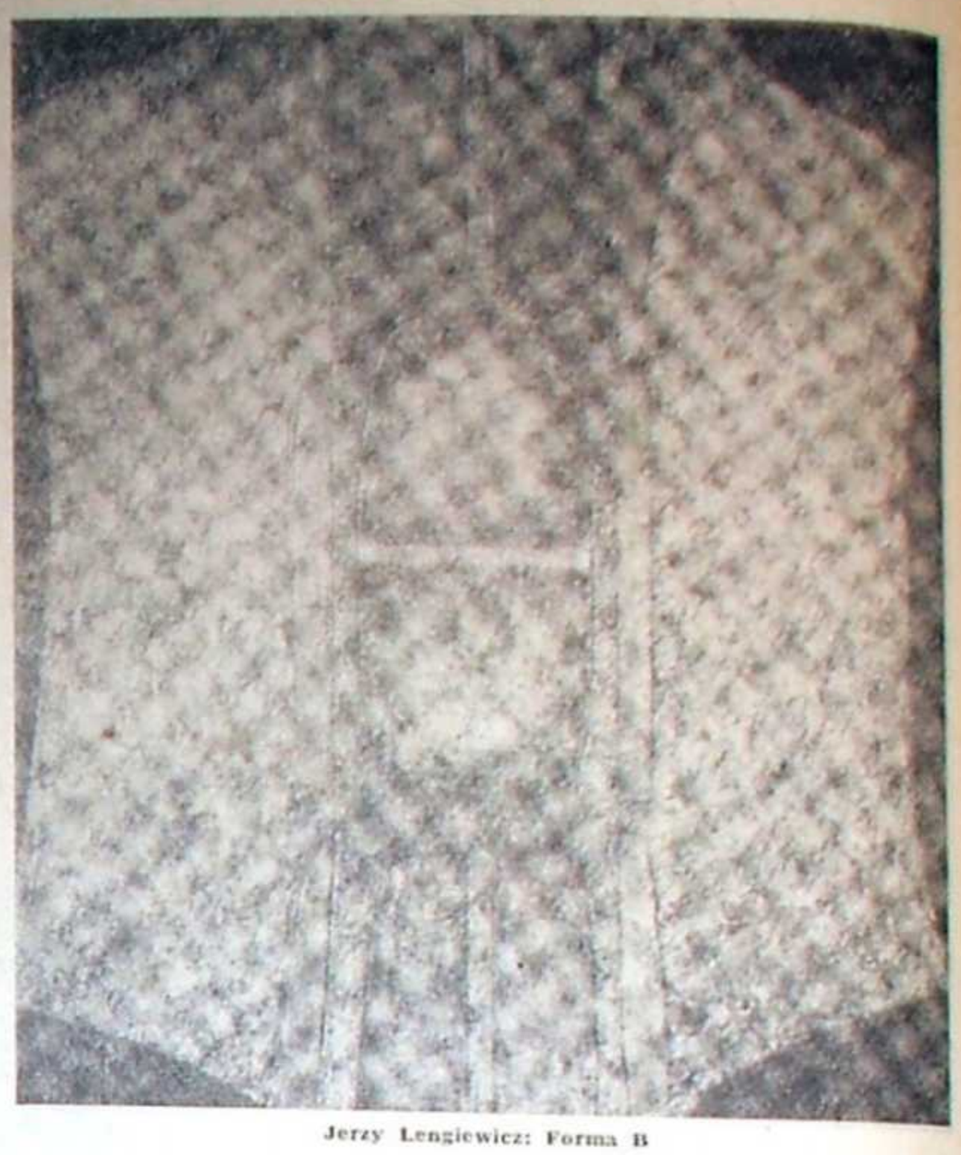

Jerzy Lengiewicz: Forma B

Notes „Kameny"

Józef Barecki

Pod znakiem swastyki

POWSTAŁA 28 listopada 1964 roku. Przybrała nazwę Narodowo-Demokratycznej Partii Niemiec. W skrócie — NPD. Rok później, w wyborach do Bundestagu głosowało na jej kandydatów 700 tys. osób. Od tej chwili rozpoczęło się pasmo sukcesów. Na wiosnę NPD stanęła do wyborów komunalnych — posypały się nowe głosy, przedstawiciele NPD weszli do wielu rad miejskich, nierzadko zdobyli w nich większość. Wybrali własnych burmistrzów.

Kilka miesięcy potem nowa partia wzięła udział w wyborach do Landtagów. Przyszły nowe zwycięstwa. W Szlezwiku-Holsztynie i Hamburgu podwoiła się liczba jej zwolenników. W Hesji urosła do 8 procent. Po raz pierwszy w swej karierze NPD przekroczyła 5-procentową barierę, zatrzymującą przed drzwiami parlamentów słabe partie. Po raz pierwszy w Landtagu zasiedli przedstawiciele NPD.

Od Hesji rozpoczął się triumfalny marsz. NPD-owcy weszli zwartymi grupami do parlamentów Bawarii, Szlezwik-Holsztynu, Palatynatu Reńskiego, Dolnej Saksonii, Bremy i ostatnio Badenii-Wirtembergii. Siedem razy stawali do próby sił i siedem razy wychodzili z niej zwycięsko.

Pierwsze sukcesy wywoływały w zachodniej Europie sensację. *Szokujące zwycięstwo. Piorun z jasnego nieba. Całkowite zaskoczenie* — nagłówki gazet wiernie oddawały zamieszanie wśród tych, którzy od lat wybielali stosunki w NRF. Wyniki ostatnich wyborów witane są już w innej tonacji. *Dla całego zachodu* — stwierdza największy dziennik włoski „Coriere della Sera" — *sukces NPD jest powodem do zaniepokojenia i alarmu. Dla Niemiec jest to wielkie nieszczęście.*

W białym polu na czerwonym tle, gdzie kiedyś krzyżowały się czarne ramiona, świeci niebieskim blaskiem nowa nazwa: NPD. Co to jest ta NPD, ten „piorun z jasnego nieba", ten powód do alarmu i zaniepokojenia?

NPD powstała cztery lata temu. W rzeczywistości narodziła się znacznie wcześniej.

Najpierw była NSDAP. Kiedy w maju 1945 roku rozleciała się III Rzesza, wydawało się, że nic już nie wskrzesi brunatnej ideologii. Tymczasem nazajutrz po klęsce prawica niemiecka poczęła się ponownie organizować. We wrześniu 1945 roku brytyjskie władze okupacyjne wyraziły zgodę na utworzenie „Niemieckiej Partii Konserwatywnej" i „Niemieckiej Partii Odbudowy". Na wiosnę 1946 roku obie partie połączyły się i utworzyły „Niemiecką Partię Rzeszy".

Wszystko zaczęło się od początku. W nowej partii znaleźli się były hitlerowiec dr Fritz Dorls, generał major w stanie spoczynku, Remer, ten który w 1944 roku stłumił pucz przeciwko Hitlerowi i młody junkier pruski, były członek NSDAP, Adolf von Thadden.

Wkrótce z „Niemieckiej Partii Rzeszy" wyłoniło się nowe ugrupowanie. Starzy bojownicy NSDAP i zasłużeni SS-mani utworzyli „Socjalistyczną Partię Rzeszy". Skrajnie prawicowe partie powstają jak grzyby po deszczu, ale ich rozbicie nie pozwala na uzyskanie jakichś poważniejszych sukcesów wyborczych. W tej sytuacji „Niemiecka Partia Rzeszy" podejmuje próbę zjednoczenia sił. 22 sierpnia 1946 roku von Thadden udaje się do Bielefeld i tam spotyka się z przedstawicielami skrajnej prawicy. Zebrani tworzą „Komitet dziesięciu", po czym wysyłają listy do 1200 osób, zapraszając je do utworzenia „zdolnej do działania partii na prawym skrzydle".

28 listopada 1964 roku w Hanowerze zjawiło się 708 zaproszonych, nastąpiło spontaniczne wypełnienie formularzy i wniosek o utworzenie nowej partii przyjęty został przez aklamację. Powstała Narodowo-Demokratyczna Partia Niemiec — NPD.

NPD nie jest w żadnym wypadku partią konserwatywną — pisał „Spandauer Volksblatt" — *jest ona zarówno antydemokratyczna jak i antykonserwatywna, antykomunistyczna, ale także antyliberalna, jest ona antyradziecka, ale także antyamerykańska, obciążona uprzedzeniami i resentymentami wobec każdego, kto nie gloryfikuje przymiotnika „niemiecki". Faktem jest, że w Niemczech istnieje znów skrajna prawica i że ekstremistyczne grupy nacjonalistyczne uzyskały już swą formę parlamentarną. Prawdą jest również, że ten prawicowy radykalizm wywodzi się bezpośrednio z hitlerowskiej przeszłości.*

* * *

Opinia publiczna zadaje sobie pytanie: kto głosuje w NRF na kolor brunatny? Jedno nie ulega dla nikogo wątpliwości — czynią to dawni hitlerowcy, ci hitlerowcy, którzy znowu tęsknią za „nowymi, zdrowymi, wielkimi Niemcami".

Ale neohitlerowcy z NPD mają szerszą bazę wyborczą. Głosują na nich przede wszystkim przesiedleńcy zza Odry i Sudetów, od lat karmieni odwetową propagandą. Neohitlerowcy obiecują im przywrócenie granic nie tylko z 1937, ale i z 1914 roku. Na NPD głosują znaczne grupy drobnych rzemieślników, chłopów, kupców, głosuje młodzież wychowana w atmosferze nacjonalizmu, wybielania byłych hitlerowców i apoteozowania hitleryzmu. *„Zwrócili się ku tej partii wszyscy rozpoczeni* — pisze „Combat" — *wypędzeni z prowincji polskich, bezrobotni, wszyscy, którzy w wyniku adenauerowskiego cudu gospodarczego znaleźli się za burtą. Opozycja skrajnej lewicy nie ma możliwości legalnego wypowiedzenia się. Zakaz działalności partii komunistycznej wydaje się więc tym bardziej niesłuszny i nie na czasie wobec pełnej swobody działania, jaką pozostawia się skrajnej prawicy...*

Nad zachodnimi Niemcami znowu legł cień swastyki. Przypomnijmy sobie, jak często miano nam za złe, że nie potrafimy zapomnieć o brunatnej przeszłości wielu obywateli tego kraju, że domagamy się konsekwentnego ścigania i karania zbrodniarzy wojennych, że piętnujemy politykę rządu zachodnioniemieckiego, popierającego i szerzącego ideologię odwetu i nienawiści do komunizmu. To co my mówiliśmy od lat, mówią d z i ś ci, którzy nie chcieli nas wtedy słuchać.

Jest rzeczą oczywistą — pisze wspomniany „Coriere della Sera" — *że część narodu niemieckiego jest bezsprzecznie hitlerowska. Na dzień przed wyborami, Kiesinger oświadczył: „Jeżeli NPD otrzyma więcej niż 5 proc. głosów, będą powody, aby postawić alarmujące pytanie: czy Niemcy zaczynają od początku?... NPD otrzymała znacznie więcej głosów — 10 proc. a wydaje się, że dysponuje ona 15 procentami. Tak jest. Niemcy z a c z y n a j ą z n o w u.*

PODZIĘKOWANIE

Komitetowi Wojewódzkiemu PZPR w Lublinie, Prezydiom Wojewódzkiej i Miejskiej Rad Narodowych w Lublinie, Zarządowi Głównemu Związku Literatów Polskich, Zarządowi Polskiego Pen-Clubu, ZG Związku Teatrów Amatorskich, Zarządom Spatifu i Stowarzyszenia Autorów ZAIKS, Oddziałom Lubelskim Związku Literatów Polskich i Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, Państwowemu Teatrowi im. J. Osterwy i Państwowej Filharmonii im. H. Wieniawskiego w Lublinie, ZO Związku Polskich Artystów Plastyków, redakcjom prasy i radia, Lubelskiemu Klubowi Literackiemu oraz wszystkim, którzy okazali mi tyle życzliwości w dniu mego jubileuszu

składam najserdeczniejsze podziękowania

Maria Bechczyc-Rudnicka

DZIEŃ NA BUDOWIE

Jerzy Dostatni

ANGLIKA tośmy wykończyli w ciągu dwóch dni. Byłoby prędzej, gdyby nie ten cholerny deszcz!

Za chwilę, na szczęście tylko sam przed sobą, wstydzę się podejrzenia, że chodziło tu o jakieś tortury na żywym człowieku lub jego uśmiercenie. Dowiaduję się także, że każdy z nas podróżując koleją wielokrotnie przejeżdża po tym — pisanym z małej litery — angliku. W katalogach oficjalnych nazywa się to rozjazdem pełnym krzyżowym. Ten dosyć skomplikowany system skrzyżowania torów kolejowych, pozwalający na przejazd w czterech kierunkach, został podobno kiedyś wynaleziony w Anglii i stąd jego powszechnie wśród braci kolejarskiej używana nazwa — anglik.

Prawdę powiedziawszy, ani brygadzista Stanisław Martyn ani żaden z czterech członków jego brygady Kos, Świszcz, Zieliński i Żebrowski — nie są kolejarzami. Zdarzało im się wprawdzie pracować na PKP, najczęściej jednak znajdują zatrudnienie w przedsiębiorstwach czy spółdzielniach, budujących jakieś obiekty przemysłowe, do których trzeba doprowadzić bocznicę kolejową. Tym anglikiem chwalą się nie bez powodu, potwierdza to zresztą później kierownik budowy Józef Kasperek. Anglik leżał w innym miejscu, był już nieco zużyty, można powiedzieć rozlazły. Wagony, które przechodziły po nim do Fermentowni Tytoniu w Krasnymstawie, niemiłosiernie piszczały, a czasem nawet chwiały się grożąc wykolejeniem. Trzeba było ów rozjazd naprawić, przeciągnąć kilkadziesiąt metrów i zamontować na nowych podkładach. Ale zamontować tak, aby obok bocznicy do Fermentowni mógł on obsługiwać bocznicę do budujących się obok zakładów ceramiki sanitarnej. Normalnie taka operacja trwa koło tygodnia.

— Hoo-op, hoo-op!

Zieliński i Żebrowski stalową łapą, która raczej przypomina wyszczerbiony trójząb, podważają szynę, w połowie już przytwierdzoną do czarnych, pachnących jakimś środkiem dezynfekcyjnym podkładów. Wysoki, szczupły Martyn, mimo że sześćdziesiątka już dosyć dawno usadowiła mu się na plecach, pochyla się nisko nad jakąś rurą z nóżkami, które rozsiadły się na szynach. — Jeszcze — szepce jakby ze złością i natychmiast odpowiada mu podwójne: — Hoo-op, hoo-op!

— Pan sądzi — powiada potem Martyn — że szyna to tylko kawałek stali? Czasem tak i wszystko idzie gładko. Ale najczęściej odzywa się w niej jakieś licho i wtedy wykręca się, nagina nie tak jak trzeba, albo ani myśli się przesunąć. A tu dokładność w rozstawieniu szyn nie może przekraczać jednego milimetra i to tylko powyżej normy. Mniej ani nawet ciut-ciut. Na łuku inaczej — szyny muszą się rozszerzać o 2 mm na każdym podkładzie, potem tak samo zbiegać się. Inaczej lokomotywa je rozsadzi.

Zieliński z Żebrowskim sapią i czerwienią się coraz bardziej, wreszcie jest dobrze. Ale nie mogą zwolnić nacisku ani na ułamek sekundy, bo szyna natychmiast wróci na stare miejsce. Więc Martyn najpierw pod stopkę szyny, potem w otwory żelaznej podkładki wbija długim, dziwnego kształtu młotem gwoździe grube jak trzy palce. Kos i Świszcz błyskawicznie wyciągają najpierw te dwa gwoździe z podkładki i na ich miejsce wkręcają równie potężne śruby o kształcie jakby grzyba, które swoimi kapeluszami przyciskają stopkę szyny do podkładu. Jeszcze jedno sprawdzenie toromierzem — ową rurką z łapkami i sprężynową wskazówką długości — rzut oka, chyba tak z przyzwyczajenia, na przejeżdżający obok pociąg i wszystko przenosi się pół metra dalej. Do następnego podkładu.

Przy jednym z nich próbuję zastąpić Kosa przy wkręcaniu owych grubych śrub w drzewo. Chwytam na przemian z rękami Świszcza oba ramiona klucza sztorcowego, zapieram się o szynę, wytężam wszystkie siły. Świszcz też aż się zasapał — i nic. A tu trzeba przekręcić dziesięć razy w koło, aby potem szyna nie uciekła w bok.

— Ja tam, panie, nie jestem uczony — wtrąca się Martyn — mam wszystkiego cztery zimy szkoły, bo latem i na jesieni, wtedy przed 50 laty, pomagało się ojcu w gospodarce. Ale niech pan popatrzy tutaj — dwie bocznice mają razem kilometr. Dwa tysiące podkładów, a w nich dwanaście tysięcy takich śrub. Kolej ma na wagonach takie maszyny, co to robią prąd i śruby wkręca się elektrycznie. A my tu wszystko musimy robić ręcznie, sam pan widzi, jak to łatwo. My mamy wprawę, prawda. Może naszemu przedsiębiorstwu nie opłaca się kupić takiego urządzenia, ale gdyby kupić chociaż jedno dla zjednoczenia? Byłem już na kilku budowach — w Rejowcu, Chełmie i innych — wszędzie buduje się bocznice.

Kos, Świszcz i Zieliński potakująco kiwają głowami, a Żebrowski dodaje:

— Przy tej ręcznej robocie człowiek namęczy się uczciwie. Po prawdzie to nam nawet dobrze płacą, lepiej niż na kolei, gdy i tam czasem zdarzy się taka ręczna robota. W kwietniu było u nas na budowie zebranie i podejmowaliśmy różne zobowiązania na 1 Maja i na V Zjazd. My są bezpartyjni, ale to nic nie znaczy. Podjęliśmy też. Te bocznice wykonamy chyba ze dwa tygodnie przed terminem. Byłoby wcześniej, gdyby były elektryczne klucze. A tak te wielkie wyroby betonowe na budowę trzeba wozić ze stacji samochodami. Niby niedaleko, będzie z 5 kilometrów i to asfaltem, ale gdyby wagon przyjechał prosto tutaj?

Fot. A. Polakowski

Wracam na plac budowy wzdłuż tej prowizorycznie jeszcze położonej części bocznicy. Każda szyna z osobna wydaje się idealnie prosta, ale dopiero z dłuższej perspektywy widać jakieś odchylenia, niepotrzebne łuki, jakby zastygłe po wyciągnięciu z ognia drgania. To wszystko trzeba metr po metrze wyprostować, wypędzić owe martynowskie licho, przytwierdzić do podkładów, podkłady podbić lub podkopać, aby tor leżał poziomo.

Niemal w samym środku kilkunastohektarowej działki, z dwóch stron otoczonej pachnącym już żywicą lasem, kręci się wysoki, szeroko u dołu rozkraczony dźwig budowlany. Jego długie ramię to się pochyla, to podnosi, ale z daleka wygląda to raczej na pełne gracji ukłony, których nie powstydziłby się mistrz etykiety na dworze któregoś z francuskich Ludwików. Przez bramę wpada zachrypiała, plująca czarnymi spalinami „Skoda" — w dwóch pękatych, stalowych gąsiorach przywiozła z Chełma kilkanaście ton cementu, którego tu nigdy nie jest za dużo. Spoza sterty wielkich betonowych płyt wypełznął na gąsienicach pracowity spychacz, podążając gdzieś za olbrzymi kompleks hal, które będą stanowić właściwą wytwórnię. Słowo — olbrzymi nie stanowi tu żadnej przesady. Wprawdzie inżynierowie powiadają, że są to cztery hale i jakieś tam jeszcze przybudówki, ale w sumie tworzą jeden obiekt, jakby jedną halę, największą w województwie, kilkadziesiąt tysięcy metrow kwadratowych.

Właśnie ta czwarta, największa część hali, a licząc z brzegu pierwsza, przeżywa najbardziej gorące chwile. Tu będą mieściły się najważniejsze maszyny, produkujące umywalki, sedesy, bidety i pisuary. Sposob użytkowania niektorych z tych produktow może wywoływać rumieniec na obliczu młodego dziewczęcia, co nie zmienia faktu, że zarówno domy mieszkalne jak biurowce, szkoły czy inne fabryki bez tych urządzeń nie mogą być używane. Wytwórnia w Krasnymstawie ma pokryć całe zapotrzebowanie wschodnich, a częściowo także centralnych województw, nie mówiąc o wcale pokaźnej części kierowanej na eksport.

Ta właśnie część hali przysporzyła generalnemu wykonawcy — Lubelskiemu Przedsiębiorstwu Budownictwa Ogólnego — kilka nowych zmarszczek. I to właśnie w jubileuszowym, dwudziestym roku istnienia tego przedsiębiorstwa. Chodziło o to, że ze względu na technologię przyszłej produkcji i rozmiary hali, dźwigary musiały mieć 24 m. Kłopot był z tymi wymiarami. Projektanci wyliczyli, że z różnych względów dach tej części nie może być położony na betonowych, a tylko na bardziej giętkich, droższych, ale lżejszych dźwigarach stalowych. Oczywiście nikt takich dźwigarów nie robi na zapas, trzeba je wykonać samemu ze sztab odpowiedniej stali.

Normalnie taką robotę w całym kraju wykonuje przedsiębiorstwo specjalistyczne „Mostostal". Główna mądrość polega na niezwykle dokładnym spawaniu pojedynczych sztab. Na bocznicy kolejowej toleruje się „odchyłki" do jednego milimetra — tu często chodzi o jego dziesiąte części. Spaw musi być równiutki, gładki, a jednocześnie mocniejszy niż sama stal. No i potem taki potężny dźwigar trzeba podnieść dźwigiem kilkanaście metrów do góry, opuścić ostrożnie na ściśle wyznaczone miejsce, znów spawać z żelazem, wmontowanym w betonowe słupy, na wierzchu ułożyć dwadzieścia płyt dachowych, z których każda waży kilkaset kilogramów. I jeszcze dziesiątki innych wymagań, na których znają się tylko specjaliści — naprężenia, wytrzymałość na wiatry z różnych kierunków, dźwiganie iluś tam ton śniegu w zimie itd.

O specjalistów z „Mostostalu" walczy cała Polska. Domagał się ich także Krasnystaw — ale znalazł się wśród tych, których można było zadowolić dopiero w połowie tego roku. To oznaczało, że wytwórnię skończy się pół roku później. Można było, oczywiście, rozłożyć ręce i powiedzieć, że ze względów obiektywnych itd. Można było pojechać do jednego czy dwóch ministrów, lamentować i wyliczać, prosić i przekonywać, że inne budowy są mniej pilne.

Ale w LPBO ambitna grupa ludzi zawzięła się. Chwała mostostalowcom, ale czy na nich kończy się świat? Inżynierowie z LPBO — początkowo nie bez tremowej zadyszki — wszystko sobie przeliczyli i narysowali. A potem brygadzista Jezierski, majster od spawania nie tylko z dyplomu, wziął się do roboty ze swoimi chłopakami. Gdy w marcu były gotowe pierwsze dźwigary, przyjechali specjaliści z „Mostostalu" i jeszcze jakiegoś instytutu, aby sprawdzić rzetelność roboty brygady Jezierskiego. Oglądali, stukali, liczyli, dosłownie znęcali się nad owymi dźwigarami. Wszyscy byli trochę niespokojni, tylko Jezierski puszczał oko do swoich chłopaków.

Schodami wykańczanego właśnie budynku, który najpierw będzie służył budowlanym, a potem dyrekcji wytwórni, wchodzę na olbrzymi dach owych trzech części hal. Z dołu nic nie było widać, teraz okazuje się, że tu też robota ludziom najdosłowniej pali się w rękach. W kilku miejscach stoją jakieś kotły, w których smaży się smoła. Raz języki ognia, raz smugi czarnego dymu, przyciśnięte do dachu gorącem majowego słońca, rozpełzają się na wszystkie strony. Kilkunastu ludzi zajętych jest kładzeniem kilku warstw papy, inni rozmazują na niej gorącą smołę. Na całe szczęście spawacze — druga grupa chłopaków od Jezierskiego — już skończyli montowanie ram do świetlików, czyli fabrycznych okien i jest tu teraz trochę przestronniej.

Doszedłem wreszcie do owej czwartej hali, do miejsca, gdzie właśnie wczoraj położono ostatnie dwa dźwigary — siedemnasty i osiemnasty. Pomiędzy nimi na drutach wisi duży pomost, a na nim trzech ludzi w widoczny sposób nudzi się. Moja z miejska wyglądająca sylwetka budzi ich zainteresowanie i gestami zapraszają mnie do siebie. Ale jedyna droga do nich prowadzi przez wiszący kilkanaście metrów nad ziemią dźwigar, więc z szacunku dla własnego życia odwzajemniam się zaproszeniem na znacznie bardziej bezpieczny dach trzeciej hali. Przeskakują po ażurowych wiązaniach tak szybko, że aż mi się w oczach troi. Po chwili oni siadają na jakimś jeszcze nie zamontowanym wywietrzniku, ja w bezpiecznej odległości od obu brzegów dachu staram się nie patrzeć na ziemię. Śmieją się i zapewniają, że tam piasek i miękko, ale wolę nie sprawdzać.

Brygada Adama Wiśniewskiego składa się poza nim z trzech ludzi. Jest sobota, do zakończenia pracy jeszcze dwie godziny, ale spawacz Rzepecki już pojechał do domu. Nic tu po nim — roboty na dzisiaj nie będzie, może dopiero we wtorek. Po prostu zabrakło następnych dźwigarów — do zakończenia całego dachu potrzeba jeszcze dziesięciu.

— Ktoś tam w przedsiębiorstwie zląkł się, że nasi spawacze nie zdążą na czas wykonać wszystkiego i zrobienie tych dziesięciu dźwigarów przekazano do przemysłówki (chodzi o Lubelskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego — przyp. J. D.). Tam są też ludzie mądrzy i dobrzy fachowcy, no ale to jest dla nich nowa robota. Spóźnią się z pierwszymi o trzy czy cztery dni. Niby niewiele, a jednak my tu teraz nie mamy roboty. Gdyby to robili nasi, całą halę skończylibyśmy do 10 maja, a tak potrwa chyba do końca miesiąca.

Nie wiem, czy brygadzista ma rację. Może były inne powody, ale w każdym razie nie jest dobrze, jeżeli jedni z najlepszych fachowców na budowie mają pretensje do kierownictwa przedsiębiorstwa, może do organizacji w nim działających, że przed powzięciem decyzji nie porozmawiali z nimi, ludźmi budowy. Albo, że przynajmniej ich nie powiadomili, jak jest naprawdę.

A fachowcami członkowie brygady Wiśniewskiego stali się bardzo szybko. Wszyscy stosunkowo młodzi, pochodzą z pobliskich wsi. Znają się od dziecka. Tradycyjnie dla tych okolic, gdzie gospodarstwa małe, ziemia niezbyt urodzajna, a rodziny liczne, jako cieśle szukali roboty na budowach. Cieśle domowego wychowu — pracujący z siekiera. Na budowach nauczyli się robienia szalunków, lania betonów, nawet murowania.

Pewnego dnia ogłoszono w LPBO, że poszukuje się kandydatów na brygade montażystów. Tłumaczono długo, że to zawód nowy, związany z mechanizacją robót, trudny, że najpierw trzeba się będzie uczyć nie tylko praktycznie, ale i wysłuchać wielu wykładów i zdać egzamin. Trochę się między sobą posprzeczali, ale wreszcie się zdecydowali i pojechali na kurs do Lublina. Dziś przyznają, że przy montowaniu pierwszego dźwigaru nadrabiali minami, ale ręce im drżały z emocji. A nuż się zawali? Nawet mniejsza o finansowe straty, ale ten wstyd przed całą okolicą! Ale nie zawaliło się, tyle, że z pierwszym trudzili się cztery dni. To było jeszcze w marcu. Pod ko-

(Dokończenie na str. 11)

Edward Inglot

* * *

w półtonach twarzy
począwszy od rozległości oczu
aż po wydmy ust
kwiaty prowadzą jesienną spowiedź
mój ląd zaczyna się zmierzchem
i kończy muzyką jezior
jeziora są pełne ryb
wczoraj nie złowiłem nic więcej
prócz żółtego mułu

* * *

rzeko malin
rzeko słodkiej goryczy
rzeko mojej siostry
nie ma marii w żółtym potoku słońca
rzeko malin
rzeko milczenia
rzeko mojej siostry

Kraków

Jarosław Andrzejuk

Kodeks supraślański

W starosłowiańskim piśmie jak w starodrzewiu lip
W starosłowiańskim piśmie wyplatanym wikliną
Stoi cisza w postołach łykowych
A na płocie schną hładyszki gliniane.

Ziemnowłosa niesie miód Derwosławowi
Gdzie świątyń okrąglaki zatopione w dolinie
Topór włupują w sumienia
Gdy w popieleniu ocalały słowa:
— dobry i miłościwy
— wojna i wola
— perun i woda.
Bzykają słowa w barci.
I jak po każdym zdaniu krople mogił.

Ptak zagląda w dzban uroczyska
I Ziemnowłosa czeka w kałuży światła.

Lublin

Andrzej Zabierowski

spopielała o dokładnych dłoniach

na wyjazd mojej żony

potarły się dwie obrączki
jak brzegi szklanek przy płukaniu
poczułem rdzawy zapach włosów
paznokcie odmierzały kręgi
żebra
i korę na słowach
prosiłaś o dokładny wymiar dla zamknięcia dłoni
i pytałaś
dlaczego myśli nie mogą się pocierać
by powstało ciepło
wypisałem wtedy twoje imię
drewienkiem na rozgrzanych drzwiczkach pieca
mignęło światłem i popiołem
a pociągi jadące obok domu
stały się cięższe niż codziennie
kołysały ścianami
twoją twarzą
leżeliśmy na torach
dlaczego zabrał cię ostatni wagon
spopielałą anielicę o małych dokładnych dłoniach

Rzeszów

A więc jak wychowywać? (2)

Dobry nauczyciel to nie megafon

Zdzisław Cackowski

Zamieszczamy niżej drugą część artykułu docenta Katedry Filozofii UMCS dr Zdzisława Cackowskiego. Pierwsza część, opublikowana w poprzednim (10) nr „Kameny", poświęcona była głównie rozważaniom na temat właściwego pojęcia słowa „wychowanie". Autor podkreślał m.in., że jego uwagi dotyczą zarówno nauczycieli szkół podstawowych i średnich, jak również pracowników naukowo - dydaktycznych szkół wyższych.

PIERWSZYM rysem dobrego nauczyciela, warunkującym właściwy przebieg procesu dydaktycznego i jego wychowawcze znaczenie, jest posiadanie przezeń szerokiego i zwartego zarazem systemu wiedzy w zakresie wykładanego przedmiotu. Chodzi o to, aby system ten miał szeroki charakter i aby obejmował nie tylko elementarne cegiełki danej dziedziny wiedzy, ale także ich konsekwencje teoretyczne wraz — tam gdzie to możliwe — z konsekwencjami filozoficzno-światopoglądowymi.

Nauczyciel, którego wiedza w zakresie danego przedmiotu nie wykracza poza informacje elementarne, który nie jest w stanie wznieść się do teoretycznej refleksji nad elementami danego przedmiotu, może osiągać pewne rezultaty, ale raczej tylko w zakresie kształcenia pamięci swoich uczniów oraz w zakresie pewnych umiejętności rzemieślniczych; nie będzie on w stanie rozbudzać niepokojów intelektualnych. Nauczyciel o tak ukształtowanym intelekcie nie będzie też w stanie „wypracować" dla samego siebie ogólniejszej wizji świata (filozoficznej jego wizji) w oparciu o zdobycze nauki i wobec tego zwykle światopoglądowa sfera jego intelektu nie jest powiązana z jego wiedzą naukową, a jeszcze częściej jest ona z tą ostatnią sprzeczna, bowiem nie jest rezultatem własnych przemyśleń, opartych na osiągnięciach nauki, ale została po prostu odziedziczona po tradycji kształtowanej poza nauką. Taka osobowość nauczyciela jest — rzecz zrozumiała — niespójna, co musi odbijać się negatywnie na działalności dydaktyczno-wychowawczej.

Trzeba, niestety, powiedzieć, że odteoretyzowanie osobowości nauczyciela jest dzisiaj zjawiskiem nader powszechnym; zdarza się ono również często w szkołach wyższych. Nauka dzisiejsza wbrew ciągle postępującej specjalizacji systematycznie ujawnia swoje rozległe, szerokie konsekwencje filozoficzne, moralne, polityczne. I jest to rzecz zrozumiała: o ile bowiem dawniej nauka była tylko częścią duchowej kultury człowieka, o tyle dzisiaj stanowi ona konieczny składnik wszelkich form życia społecznego, stała się koniecznym elementem także materialnej działalności ludzkiej w najróżnorodniejszych jej formach (technologicznej, ekonomicznej, politycznej).

Zdawać by się więc mogło, że dzisiejszy słuchacz wykładów z fizyki, chemii czy biologii świadom jest tych wszystkich rozległych konsekwencji nauki w dzisiejszym świecie, że jest pełen niepokojów moralnych i filozoficznych, pełen pytań, oczekujących odpowiedzi ze strony filozofa czy socjologa, moralisty czy polityka. Tymczasem niczego takiego się nie stwierdza. Zainteresowania młodych adeptów nauk przyrodniczych nie sięgają tak daleko. Widocznie i wykłady do tych sfer nie sięgają; widocznie i one tęsknot teoretycznych nie zdradzają. Nawał materiału elementarnego, faktograficznego, nie zostawia marginesu czasowego na teoretyczne wzloty. Nauczyciele więc najpierw nie mają czasu na teoretyzowanie, a później od niego odwykają, przestają odczuwać potrzebę teoretycznej refleksji, tracąc pełnię swej intelektualnej osobowości, przeobrażając się w nauczycieli rzemiosła i tylko. Jednym z przejawów tego stanu rzeczy jest dostrzegany dzisiaj wyraźnie kryzys uczelni wyższej jako instytucji kształcącej kadry naukowo-badawcze dla kraju i płynące stąd poszukiwania nowych form organizacyjnych dla kształcenia tych kadr (przykład — artykuł prof. Groszkowskiego).

Drugą cechą dobrego nauczyciela jest faktyczna integralność między intelektualną i emocjonalną sferą jego osobowości. Wychowawcze działanie procesu nauczania polega, jak już mówiliśmy, na wzbudzaniu uczuć i woli, na aktywizowaniu sfery emocjonalnej i wolicjonalnej. Zrozumiałą jest więc rzeczą, że nauczyciel, który jest pozbawiony wrażliwości emocjonalnej na proces poznawania, nie może być organizatorem wzbudzającego emocje procesu nauczania. Nie może budzić uczucia radości poznawania ten, kto sam takiego uczucia nie doznawał i nie doznaje. A więc jakiś stopień twórczego zaangażowania w proces poznawania jest koniecznym rysem osobowości dobrego nauczyciela. Ta okoliczność tłumaczy też doniosłość postulatu, który od nauczyciela akademickiego wymaga, aby był on jednocześnie naukowo twórczym pracownikiem.

Trzecim wymogiem, jaki postawić trzeba przed nauczycielem, jest ten, aby wypowiadał on swoje i tylko swoje myśli. Chodzi o to, aby nauczyciel nie był jedynie megafonem przekazującym cudze myśli, które przestają wówczas być myślami, przybierają charakter wypranych z treści formuł. Rzecz oczywista, że każdy nauczyciel, na każdym poziomie szkoły, w przytłaczającej mierze przekazuje młodzieży wiedzę, która jest rezultatem wysiłku badawczego bardzo wielu ludzi, a nawet bardzo wielu pokoleń. Inaczej też być nie może. Chodzi tylko o to, aby ten dorobek innych był przekazywany młodzieży przez nauczyciela po tak gruntownym przyswojeniu i przemyśleniu, że stał się on już myślą własną nauczyciela, wszedł w zakres jego własnych, głęboko i wszechstronnie rozumianych przekonań. Takie głębokie przemyślenie sprawia, że materiał może być i jest przekazywany młodzieży we własnym imieniu nauczyciela i w oparciu o jego rzeczowe argumenty, nie zaś w imieniu cudzym i w oparciu o autorytet innych ludzi. Zdezawuowanie się nauczyciela jako automatu powtarzającego cudze formuły jest równoznaczne z jego dyskredytacją w oczach młodzieży.

Czwarty wymóg dotyczy sposobu wykładania materiału. Chodzi o to, aby prezentować młodzieży nie tylko wyniki cudzych i własnych przemyśleń, ale także drogę prowadzącą do tych wyników, sam proces myślenia. Z postulatem tym wiąże się bardzo doniosły problem ogólny, dotyczący traktowania nauki jako przedmiotu nauczania. Problem ten, jak sądzę, można wyrazić w trzech następujących pytaniach: a) czym jest nauka jako zbiór osiągniętych dotąd rezultatów poznawczych, jako zbiór gotowej informacji?; b) co daje nauka społeczeństwu i jak się ją praktycznie spożytkowuje?; c) jak się dochodzi do odkryć naukowych, jak się naukę „robi"?

Najdotkliwszym, jak mi się wydaje, mankamentem dzisiejszej dydaktyki, odbijającym się niekorzystnie na jej skutkach wychowawczych, jest wyraźne lekceważenie tego ostatniego pytania. Oczywiste, że nie na wszystkich poziomach kształcenia pytanie to w jednakowym stopniu może być uwzględniane. Sądzę wszakże, że nawet w szkole podstawowej można co nieco zrobić dla przygotowania umysłów do pełnego zrozumienia treści i doniosłości tego pytania na wyższych szczeblach kształcenia. Najbardziej bolesny jest fakt, że to niezwykle doniosłe pytanie zaniedbywane jest w dydaktyce szkoły wyższej, w podręcznikach szkoły wyższej, ba — nawet w rozprawach naukowych, w których wykład gotowych rezultatów stanowi często jedyną treść, zaś analiza dróg do tych rezultatów prowadzących jest zupełnie zaniedbywana.

Myślę, że kilka słów komentarza na temat niezwykle popularnej w Polsce audycji telewizyjnej, prowadzonej z Krakowa przez prof. Zina, wyjaśni dokładniej treść tych uwag. Otóż wyobraźmy sobie przez chwilę, że prof. Zin inaczej prowadzi swoje aducje: przygotowuje rysunki przed audycją, w trakcie audycji pokazuje je tylko i objaśnia. Co zyskałby w ten sposób? Na pewno zyskałby wiele. Rysunki przygotowane uprzednio byłyby bez wątpienia technicznie lepsze, dokładniejsze; po drugie, w czasie audycji można byłoby większą liczbę rysunków pokazać telewidzom i znacznie więcej o nich powiedzieć. Słowem, przy takim prowadzeniu audycji informacja stałaby się niewątpliwie dokładniejsza i byłoby jej znacznie więcej. Ale cóż z tego, skoro sam proces tworzenia zostałby z niej usunięty, czyli usunięte zostałoby z niej to, co decyduje o jej atrakcyjności, o jej dydaktycznej i wychowawczej skuteczności, co sprawia, że bardzo duża liczba osób audycję ogląda i to z zainteresowaniem, a więc współczynnik odbioru informacji nadawanej jest bardzo wysoki. Przy innej formie tej audycji nadawanych informacji byłoby więcej niż obecnie, ale informacji przyjmowanych przez telewidzów byłoby niewątpliwie znacznie mniej.

Wydaje mi się, że ten element rodzenia się myśli, odkrycia, wynalazku jest coraz wyraźniej karczowany z naszej dydaktyki pod naciskiem pośpiechu w przekazywaniu gotowych rezultatów. W ten sposób pozbawiamy atrakcyjności nasze zajęcia, a tym samym zmniejszamy ich dydaktyczną i wychowawczą skuteczność. Obawiam się również, że jednocześnie przy takim prowadzeniu naszej dydaktyki zmniejszamy wartość przygotowywanych przez nas specjalistów. Pamiętać trzeba, że jest druga połowa wieku XX, że nie żyjemy w wieku XIX, kiedy to wiedza uzyskana przez inżyniera w czasie jego studiów była w stanie służyć mu aż do emerytury. Dzisiaj sytuacja jest inna: wartość inżyniera ujawnia się nie w trwałości jego pamięci, ale w zdolności do samodzielnego uzupełniania wiedzy w miarę jej rozwoju i w miarę zmieniających się (bardzo szybko!) potrzeb zawodowych oraz w zdolności do reorganizowania dawniej zdobytej wiedzy stosownie do tych zmieniających się potrzeb zawodowych. Otóż miarą wartości dzisiejszej dydaktyki musi być stopień przygotowania absolwentów szkoły do tego samodzielnego uzupełniania swej wiedzy oraz — szczególnie — do samodzielnego jej strukturowania, stosownie do zmieniających się potrzeb zawodowych.

Aby jednak uczniowie mogli zrozumieć doniosłość pytania o sposób tworzenia nauki i odczuć radość naukowych poszukiwań (a choćby i w ogóle poznawczych poszukiwań), muszą oni w jakiejś

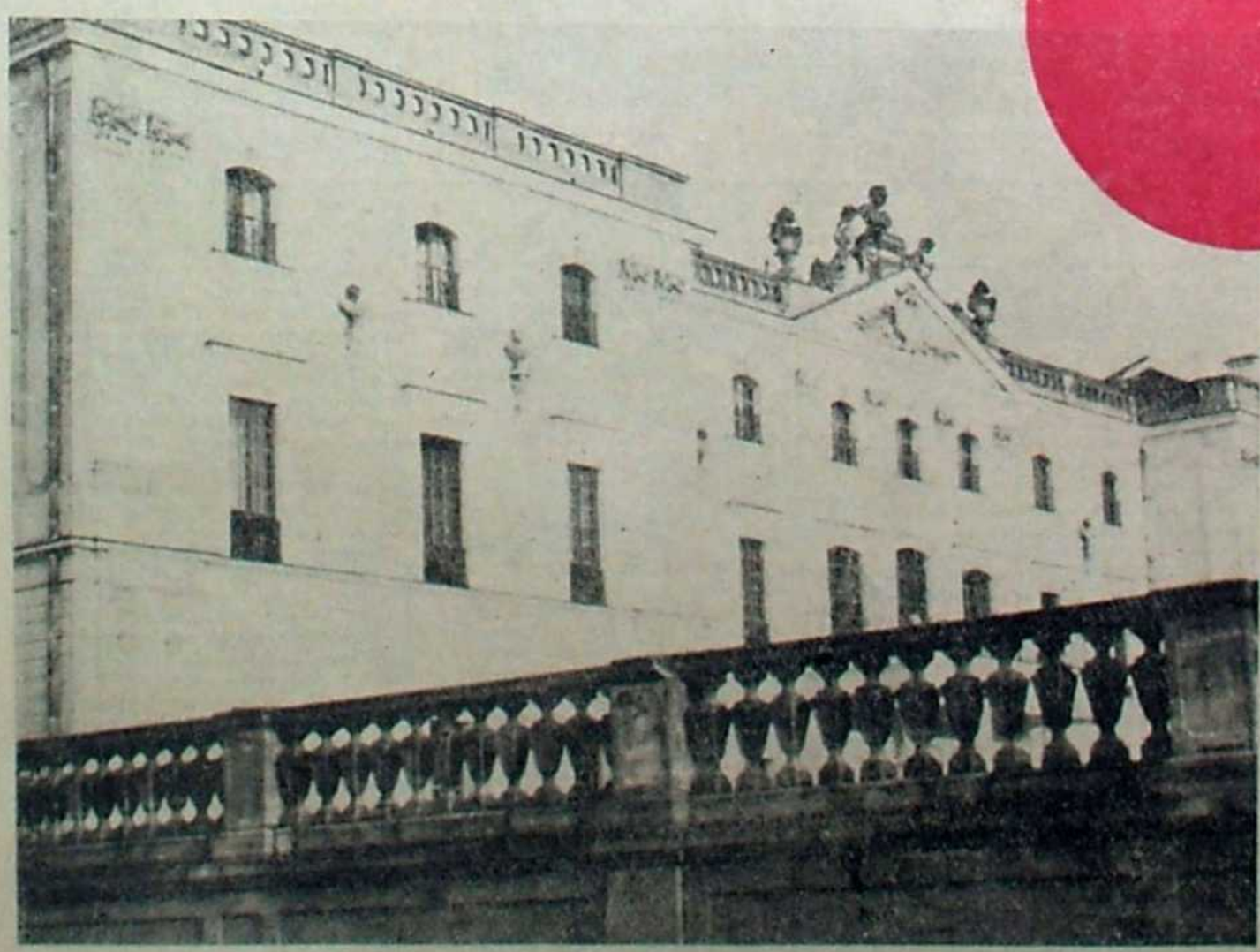

Fragment pałacu Branickich w Białymstoku. Mieści się tu Akademia Medyczna — Fot. R. Sieńko

mierze być uczestnikami odkrywania prawd w toku realizowania procesu dydaktycznego. Jeżeli zatem nauczyciela interesują wyłącznie gotowe rezultaty poznania naukowego i nie interesuje go sam proces dochodzenia do wiedzy, to trudno oczekiwać, aby w zespole przez niego prowadzonym wysiłek uczniowski wykraczał poza wysiłek pamięciowy.

Ale samo docenianie problemu dróg dochodzenia do wiedzy wartościowej nie wystarcza; nauczyciel musi dodatkowo władać sztuką wciągania uczniów do samodzielnego wysiłku poznawczego. Dochodzimy tutaj do problemu, który skłonny byłbym nazwać głównym problemem nauczania intelektualnie kształtującego i wychowującego. Oto nauczyciela (a zwłaszcza nauczyciela, który sam jest badaczem) porównać można za Ludwikiem Hirszfeldem do alpinisty, który niezwykle krętą drogą wdziera się na szczyt górski i który, gdy jest u celu i ogląda się za siebie, spostrzega ku swemu wielkiemu zdziwieniu, że do szczytu owego prowadzi prosta i wygodna droga. I oto staje on wobec pytania, jakich wskazówek udzielić tym, którzy stoją u podnóża góry i wybierają się w jego ślady: czy pozostawić ich sobie samym, czy wskazać im widoczną ze szczytu i łatwą drogę, czy wreszcie udzielić im tylko pewnych (jakich mianowicie?) wskazań, pozostawiając pewien margines na samodzielne poszukiwania, pewien margines ryzyka i własnego trudu?

Rozstrzygnięcie tego problemu zależy od celu, jaki stawia sobie nauczyciel-alpinista, zależy od celu dydaktyczno - wychowawczego. Jeśli chodzi tylko i wyłącznie o to, aby ci z dołu wspięli się na ten jeden konkretny szczyt, jeśli chodzi o to, aby uczniowie zdobyli tę jedną konkretną informację, to trzeba im pokazać najprostszą drogę, trzeba im po prostu podać gotową informację. Jeżeli natomiast celem działania dydaktycznego nie jest ten oto szczyt, nie jest ta oto informacja, ale wytwarzanie sprawności we wspinaniu się na różne szczyty, wytwarzanie sprawności w zdobywaniu różnych informacji, w samodzielnym rozwiązywaniu różnych problemów, to wówczas wskazanie drogi najprostszej jest niedopuszczalne, chociaż pozostawienie uczniów bez wszelkich wskazówek też byłoby rzeczą niewłaściwą. Trzeba wybierać drogę pośrednią. Ale gdzie przebiega owa linia środka? Teoria nie daje i dać nie może powszechnie ważnego i jednoznacznego rozstrzygnięcia tego pytania. Prawdopodobnie dla każdego ucznia owa linia środka przebiega odmiennie i nie teoria, ale kunszt nauczycielski z doświadczenia płynący może odegrać zasadniczą rolą w jej odnalezieniu.

Obawiam się, że w praktyce nauczycielskiej zbyt często wybieramy metodę wskazywania najprostszej drogi. Przeważnie mamy tak dużo gotowych rezultatów, gotowej informacji do zakomunikowania, że ze względów „ekonomicznych" nie ma czasu na kręte drogi. W ten sposób podajemy informację nie kształcąc sprawności, wypełniamy pamięć nie rozwijając intelektu, tłoczymy do głów fakty nie rozbudzając emocji pozytywnych, co zwrotnie osłabia również kształtowanie czysto pamięciowe. Nauczanie angażujące wyłącznie pamięć młodzieży nie wzbudza jej emocji, nie angażuje jej własnego i samodzielnego wysiłku i w rezultacie nie może być ani dydaktyczne ani wychowawczo owocne.

Wszystkie jednak wymienione czynniki osobowości nauczyciela funkcjonować mogą skutecznie tylko w towarzystwie wysokiej ambicji nauczycielskiej, której — niestety — tak często dzisiaj nie staje w środowiskach nauczycieli akademickich. Uczelnie wyższe mają bardzo wielu wspaniałych i doświadczonych pedagogów, napływa do tego środowiska ciągle bardzo wielu wszechstronnie zdolnych młodych ludzi. Chodzi tylko o to, aby oni, „chcieli chcieć". Tymczasem w bardzo wielu środowiskach akademickich ambicje dydaktyczne są lekceważone, nie są rozwijane, często nawet dezaprobowane. W sposób nieprzemyślany i nieodpowiedzialny wysiłek badawczy — bezwzględnie konieczny w pracy nauczyciela akademickiego — nie tylko nie jest łączony, ale niejednokrotnie przeciwstawiany wysiłkowi nauczycielskiemu. Zapomina się przy tym, że los samej nauki zależy przede wszystkim od wysiłku w zakresie przygotowywania nowej kadry nauczycielskiej i naukowej.

Z takiej postawy wyrastają sytuacje, w których do sekcji nauczycielskich (niedawno wyodrębnionych na niektórych kierunkach studiów) kieruje się najsłabszych studentów; studentowi, który powinien być w ogóle ze studiów wyeliminowany, stawia się naciąganą ocenę pozytywną, „pocieszając się" tym, że on „pójdzie do sekcji nauczycielskiej". Sytuacja ta nie jest, rzecz jasna, wynikiem złej woli. Ma ona wiele skomplikowanych źródeł, które wymagają głębokiego i wszechstronnego rozważenia. W każdym razie jednak jest to sytuacja zła, szkodliwa zarówno dla rozwoju nauki jak i dla rozwoju całokształtu życia społecznego. Trzeba więc po szerokim publicznym jej przedyskutowaniu podjąć kroki, zmierzające do ulepszenia naszej praktyki dydaktyczno-wychowawczej.

Wszystko to, co wyżej zostało powiedziane o wychowawczej roli procesu dydaktycznego, odnosi się do nauczania wszelkiego, odnosi się w jednakowej mierze do procesu dydaktycznego w zakresie każdego przedmiotu nauczania. W zakresie kształtowania podstawowych wartości moralnych — zamiłowania do pracy i pracowitości, szacunku do pracy i rezultatów ludzkiej pracy. Szacunku dla ludzi pracy i poczucia odpowiedzialności, odpowiedzialności ludzkiej, zawodowej, obywatelskiej — wszystkie przedmioty mają jednakowe zadania i jednakowe możliwości działania wychowawczego.

Jednakże wymienione rysy osobowości nie mogą wyczerpywać programu wychowawczego naszej szkoły. Poza ogólnymi walorami człowieka kształtować mamy osobowość obywatela Polski socjalistycznej, a więc człowieka przywiązanego do swego kraju, do jego tradycji i jego kultury, znającego społeczny program budownictwa socjalistycznego i uczuciowo związanego z tym programem. I aczkolwiek w spełnianiu tego programu wychowawczego mogą i powinny uczestniczyć wszystkie przedmioty w szkole wykładane, to jednak treść poszczególnych przedmiotów predestynuje je do kształtowania pewnych rysów osobowości w większym stopniu niż do kształtowania innych rysów tej osobowości. Niewątpliwie historia powszechna kraju, zwłaszcza jego rewolucyjnych walk, historia jego literatury, czy wreszcie historia jego osiągnięć naukowych bardziej sprzyja kształtowaniu się przywiązania człowieka do kraju ojczystego niż na przykład treść takich przedmiotów jak fizyka czy chemia. Z kolei dla kształtowania się naukowego poglądu na świat, dla zrozumienia filozoficznych podstaw przemian społecznych oraz źródeł społecznych socjalizmu ogromne znaczenie ma filozofia i nie mają w tym względzie takiego znaczenia wychowawczego nauki typu geografii czy anatomii.

W każdym razie przytoczone przykłady zdają się świadczyć, że różne przedmioty w zależności od swych treści spełniać mogą zróżnicowane funkcje wychowawcze, a zależność funkcji wychowawczych nauczania od treści programowych, od treści wykładanych przedmiotów, jest również bardzo doniosłym problemem zarówno dla teorii wychowania jak i dla praktyki działania wychowawczego. Z uświadomienia sobie istotnej więzi między treścią programu a procesem wychowawczym wynika postulat troskliwego dobierania treści programowych nie tylko ze względu na ich wartość kształcącą, ale także ze względu na ich znaczenie wychowawcze w zakresie kształtowania postaw ludzkich i obywatelskich.

Wreszcie jeszcze jeden problem podjąć się godzi. Szkoła, a szkoła wyższa w tej liczbie, nie spełnia swoich zadań wychowawczych w sposób od szerokiego społeczeństwa niezależny. Społeczność szkoły wyższej stanowi organiczną część całego społeczeństwa. Główna liczbowo część społeczności akademickiej — studenci — jest programowo płynna: co roku prawie piąta część młodzieży studiującej odchodzi ze środowiska akademickiego i co roku co najmniej tyleż młodych ludzi na uczelnie przychodzi. Trzeba zdawać sobie sprawę z faktu, że młodzież studencka składa się z ludzi fizycznie, duchowo i obywatelsko dojrzałych; są to ludzie w wieku od 18 do 24 lat. Mają oni bardzo rozległy wachlarz potrzeb, żyją pełnym życiem obywatelskim, a różnorodne formy działalności społecznej, w której uczestniczą, spełniają wobec nich tym samym istotną rolę wychowawczą.

Wśród wielu form więzi, jakie istnieją między środowiskiem akademickim a całością społeczeństwa, wymienić trzeba przede wszystkim organizacje społeczne i społeczno-polityczne. Organizacje te stanowią formę dla przenoszenia na grunt uczelni wszystkich problemów życia społecznego, a jednocześnie stanowią formę uczestniczenia społeczności akademickiej w praktycznym rozwiązywaniu tych problemów, dzięki czemu są one szkołą praktycznego życia społecznego. Ten praktyczny udział młodzieży akademickiej w życiu całego kraju przez szerokie omawianie problematyki krajowej (gospodarczej, kulturalnej, politycznej), połączony ze świadomością własnego udziału w rozstrzyganiu tej problematyki, stanowi doniosły i konieczny warunek wszechstronnego wychowania obywatelskiego, kształtowania odpowiedzialnej postawy przyszłego inżyniera, lekarza, nauczyciela czy działacza wobec wszystkich spraw zarówno własnego środowiska jak i całego społeczeństwa.

Wiele niedomagań wychowawczych wynika właśnie z niedostatecznego wykorzystania tej niezwykle doniosłej formy oddziaływania wychowawczego.

W 150 rocznicę śmierci J. H. Dąbrowskiego

Ludzie wolni są braćmi!

Juliusz Willaume

DĄBROWSKI pochodził z rodziny drobnoszlacheckiej. Jego dziad, chorąży Jan Stanisław, walczył pod Wiedniem; ojciec, Jan Michał, za Augusta II był pułkownikiem saskich szwoleżerów. Z małżeństwa z Zofią z Lettowów (herbu Lemiesz), spolszczonej w XVI w. niemiecko-szkockiej rodziny oficerów gwardii koronnej, urodził się 29 sierpnia 1755 r. w Pierzchowcu pod Bochnią Jan Henryk. Po śmierci matki pozostał przy jej rodzinie w Krakowskiem. W 11 roku życia zabrał go ojciec do siebie, do Saksonii, celem przysposobienia do służby wojskowej. Jako podporucznik szwoleżerów w wojnie sukcesyjnej bawarskiej (1778 r.), Jan Henryk zapoznał się z taktyką manewrową. W niemieckie otoczenie wrósł po zaślubieniu Gustawy Rackel. Przeniesiony do gwardii w Dreźnie, pod wpływem reformatora jazdy gen. Bellegarde'a poznał zasady wojny ruchomej. Jej inicjatora, żyjącego w XVII w. marszałka Turenne'a, naśladował drobiazgowo, przejmując po nim nawet zamiłowanie do srokatych wierzchowców. Pilnie studiował historię wojen, zgromadził cenny zbiór map, z którego później korzystał.

Po zwiększeniu wojsk Rzeczypospolitej, przyjęty latem 1792 r. w stopniu podpułkownika, wnet mianowany wicebrygadierem I brygady kawalerii wielkopolskiej gen. Madalińskiego, Dąbrowski sprowadził do Warszawy żonę z dziećmi, 9-letnim Janem Michałem i 4-letnią Karoliną. Podczas kampanii 1792 r. należał do dywizji Byszewskiego, osłaniającej stolicę. Z kolei wysłany na kwatery do Gniezna, na czele dwu szwadronów przez dwa dni w styczniu 1793 r. nie dopuszczał do miasta Prusaków, dokonujących II rozbioru. Później porozumiewał się z oficerami garnizonów stołecznego i krakowskiego w sprawie walki z zaborcami, snuł plany przerzucenia wojsk do deklarującej walkę o wolność ludów Francji rewolucyjnej.

W okresie Targowicy nie porzucił wojska m.in. przez wzgląd na utrzymywaną z gaży oficerskiej rodzinę. Nieznany, źle mówiący po polsku i dlatego uważany za Niemca, pozostał poza kręgiem patriotycznego sprzysiężenia. Gdy brygada Madalińskiego, chroniąc się przed redukcją, ruszyła 12 marca spod Ostrołęki na Kraków, władze konfederacji grodzieńskiej zleciły Dąbrowskiemu jej powstrzymanie. Na wieść o wybuchu insurekcji w Warszawie wicebrygadier wyprowadził pozostałe w Ostrołęce odwody do stolicy. Tu postawiony przed sąd wojenny został dzięki Józefowi Wybickiemu oczyszczony z zarzutu zdrady. Wysłany na czele przyprowadzonych przez siebie szwadronów nad Pilicą dla osłony kraju przed Prusakami, zetknął się z wycofującym się spod Szczekocin Kościuszką. Wysoko oceniając talenty wojskowe wicebrygadiera, Naczelnik mianował go generałem majorem i zlecił przeprowadzenie rozpoznania kawaleryjskiego na terenach obsadzonych przez Prusaków. Po stwierdzeniu koncentracji wojsk pruskich, zagrażających Warszawie, Dąbrowski uczestniczył w przygotowaniu obrony stolicy. Podczas oblężenia odznaczył się pomyślnymi wycieczkami oraz odparciem generalnego natarcia pruskiego na linii Wola — Powązki — Marymont. Na polu walki otrzymał od Kościuszki pierwszą złotą obrączkę z napisem: „Ojczyzna obrońcy swemu".

Po zdjęciu oblężenia ruszył 3 września z 3 tysiącami ludzi na wsparcie powstania wielkopolskiego. Połączył się z 4 tysiącami źle uzbrojonych ochotników. Na ich czele pod Łabiszynem odparł 29 września nocny atak lotnej kolumny płka Szekely'ego i zdobył Bydgoszcz. Wobec okrążenia przez wielokrotnie liczniejszego nieprzyjaciela, z końcem października w porządku przeprawił się za Bzurę. Wyprawa ta opóźniła interwencję pruską nad Wisłą, ugruntowała sławę wojenną Dąbrowskiego; za uwolnienie Bydgoszczy Kościuszko mianował go generałem lejtnantem i przesłał złotą szablę.

Kiedy Kościuszko dostał się pod Maciejowicami do niewoli, Dąbrowski na radzie wojennej opowiedział się za przerzuceniem działań do Wielkopolski. Po upadku Pragi był za przedzieraniem się do Francji. Jedyne podległe mu dwie brygady jazdy nie rozeszły się aż do kapitulacji w Radoszycach (18 listopada). Zatrzymany na słowo przez Suworowa w Warszawie, nie przyjął obcej służby, choć rodzinę utrzymywał z pożyczek.

Na wezwanie Wybickiego z Paryża opuścił w lutym 1796 r. Warszawę. W Berlinie przedłożył Fryderykowi Wilhelmowi II, oparty na perspektywie wojny zaborców o podział Polski, plan zmierzający do odbudowy Rzeczypospolitej. W Dreźnie nie skorzystał z proponowanego przez Fryderyka Augusta powrotu do służby saskiej. Ze swym synem i adiutantem Tremonem przedostał się jesienią 1796 r. do głównej kwatery wojsk francuskich pod Kolonią, skąd z listami polecającymi przybył do Paryża.

Swego przyjaciela Wybickiego zastał w gronie umiarkowanych wychodźców, zwolenników Konstytucji 3 Maja, skupionych wokół kościuszkowskiego agenta dyplomatycznego Barssa. Tzw. „Agencja" zmierzała do niepodległości, tworząc u boku Francji rewolucyjnej kadry regularnej siły zbrojnej, na której miało się oprzeć powstanie krajowe. W sprawach społecznych kontynuowano tradycje insurekcyjne. Planowano obdarzenie legionistów po zwycięskim powrocie do kraju dziedzicznymi osadami włókowymi, wolnymi od świadczeń na rzecz dziedzica. Przeciw „Agencji" występowała lewicowa „Deputacja", głosząca zrównanie stanów i wprowadzenie ustroju republikańskiego w Polsce. Przygotowując powstanie krajowe w oparciu o formację wojskowe na Wołoszczyźnie, doczekała się ich klęski latem 1797 r. podczas próby przedostania się przez granicę austriacką. W tych warunkach akceptowana przez Dyrektoriat francuski inicjatywa tworzenia legionów polskich, skierowana w Paryżu na teren włoski, wywołała ostry opór „Deputacji". W ogłoszonych drukiem paszkwilach przedstawiano Dąbrowskiego jako prowokatora, wysłanego przez zaborców na zgubę Polaków.

J. Kossak: Marsz, marsz Dąbrowski z ziemi włoskiej do Polski...

Pokonawszy początkowe trudności w kwaterze dowódcy armii włoskiej, gen. Bonapartego, Dąbrowski zawarł 9 stycznia 1797 r. w Mediolanie umowę z rządem lombardzkim. Zastrzegł w niej narodowy charakter legionów, prawa obywatelskie legionistów oraz swobodny powrót do Polski po wojnie. Cel przyświecający szybko utworzonym dwom legiom Wybicki zawarł w powstałej w lipcu 1797 r. w głównej kwaterze Dąbrowskiego w Reggio „Pieśni Legionów Polskich we Włoszech". Odrzucając pogląd o identyczności państwa i narodu, wskazywał, że mimo upadku państwa pozostał naród, którego przedstawicielem są legiony, świadczące, iż „jeszcze Polska nie zginęła", budzące nadzieje, iż nadal „będziem Polakami". Zapowiadał marsz „z ziemi włoskiej do Polski" — „za przewodem" Dąbrowskiego. Nadzieje te przekreślił zrazu pokój w Campo Formio z Austrią (17 październik 1797 r.). Nie tracąc nadziei, Dąbrowski siódmą rocznicę konstytucji majowej obchodził z I legią w Rzymie. Podczas drugiej wojny koalicyjnej, jesienią 1798, uczestniczył w kampanii neapolitańskiej. Powróciwszy na nizinę nadpadańską, mężnie walczył nad Trebbią (17—19 maja 1799 r.), bił się w dwu bataliach pod Novi, przypadkowi zawdzięczał uratowanie życia pod Bosco.

Po powrocie Bonapartego z Egiptu, Dąbrowski uzyskał w Paryżu zatwierdzenie reorganizacji legii włoskiej, którą uzupełniał w Marsylii. Na jej czele oblegał Austriaków w Mantui, gdy zawarto pokój w Lunewille (9 marca 1801 r.). Nie poddawał się zwątpieniu, ale w październiku po układzie paryskim z Rosją, stanowiącym o rozwiązaniu legionów, od projektu przedarcia się przez Niemcy do kraju przerzucał się do planu „bryknięcia" na Wyspy Jońskie i półwysep Morea pod opiekę Turcji. Doczekał się zsyłki większości legionistów na San Domingo. Jako generalny inspektor wojska polskiego z siedzibą w Mediolanie (1802 r.), sprawował funkcje administracyjne nad pozostawionymi we Włoszech dwoma pułkami piechoty i pułkiem jazdy, dla których uzyskał zachowanie polskich mundurów, dystynkcji i komendy.

Przeniesiony w 1806 r. do Chieti na stanowisko dowódcy okręgu wojskowego Abruzzów w Królestwie Neapolitańskim, otrzymał 3 października 1806 r. wezwanie do stawienia się w głównej kwaterze cesarskiej, zbliżającej się do Berlina. W rozmowie z Napoleonem zapewniał o zapale narodu, ręczył za wystawienie 40 tysięcy żołnierza. W mundurze polskiego generała wjechał w świcie cesarskiej przez Bramę Brandenburską. W Berlinie 3 listopada wraz z Wybickim otrzymał rozkaz Napoleona w sprawie wydania odezwy wzywającej Polaków do powstania. Po Kościuszce był Dąbrowski najbardziej zasłużonym generałem insurekcyjnym, a jako wódz legionów dobrze znanym na ziemiach polskich. Witany entuzjastycznie 8 listopada w Poznaniu „Mazurkiem Dąbrowskiego", generał powołał pod broń ochotników i pospolite ruszenie. W ciągu dwu tygodni zgromadził 8884 doborowych. W nowy rok 1807 podczas przeglądu pospolitego ruszenia na polach łowickich wręczono mu buławę Stefana Czarnieckiego. Ale stanowisko dyrektora wojny Napoleon pozostawił księciu Józefowi Poniatowskiemu.

Dąbrowski na czele dywizji poznańskiej zdobył 23 lutego Tczew. Dwa konie pod nim ubito i raniono go w nogę. Synowi jego, pułkownikowi Janowi Michałowi, kula strzaskała prawe ramię. Z uwagi na trudno gojącą się ranę generała Napoleon przez pewien czas był skłonny powierzyć Dąbrowskiemu dyrekcję wojny, o ile Poniatowski życzyłby sobie objąć dowództwo wojsk liniowych. W związku z rozpatrywaną zamianą stanowisk Dąbrowski z początkiem maja zgłosił się w głównej kwaterze cesarskiej w Finckenstein (dziś Kamieniec

(Dokończenie na str. 10)

moje LEKTURY

„NAGI SĄD" Wiesława Myśliwskiego należy do książek, które zaprzeczają prawu pisarskich początków. Niewiele jest w tej powieści znamion debiutu z jego mieliznami i brakiem skrystalizowanej świadomości pisarskiej. Bo też pierwsza książka, z którą przychodzi pisarz do czytelnika, nie musi być rzeczywiście pierwszą napisaną książką. Mogła ona być poprzedzona wieloletnimi próbami i doświadczeniami, zachowanymi w tajemnicy. Nie każdego jednak adepta sztuki pisarskiej stać na długą pracę w samotności i zdobywanie osiągnięć bez świadectwa kibiców. Wydaje się, iż Myśliwski kłopoty pisarza początkującego ma już za sobą. „Nagi sąd" stanowi bowiem zapowiedź pisarza szybko dojrzewającego i zaawansowanego w poszukiwaniu samookreślenia.

Łatwo to sprawdzić w warstwie językowej. Myśliwski w sposób świadomy, graniczący z ascetyzmem, wyzbywa się potoczności, unika stereotypowych zwrotów, odrzuca te wszystkie słowa, które przy pisaniu najchętniej podchodzą pod pióro. W sposób maksymalny odpodabnia on język, oddala od potocznej, mówionej wypowiedzi, dokonuje swoistej metaforyzacji. Tłumaczy niejako język zwykły na własny system stylistyczny. Ten sposób postępowania ułatwia mu w sposób istotny wybór bohaterów i środowiska. Opowieść nauczyciela, syna chłopskiego, pozwala zachować związek z chłopskim sposobem myślenia, mówienia i odczuwania, umożliwia poruszanie się po niezmierzonych zasobach wiejskich realiów, które — jak dowodzi „Nagi sąd" — autor zna znakomicie.

Ale i tu odchodzi on od wydeptanych ścieżek: zrywa z reymontowskim widzeniem wsi, nie daje się też uzależnić prozie Juliana Kawalca, choć poszukiwania Myśliwskiego są do pewnego stopnia równoległe do tych, jakie czyni autor „Tańczącego jastrzębia". O ile jednak dla Kawalca przedmiotem zainteresowania stają się przemiany wsi i świadomości ludzi, walka nowego ze starym, o tyle Myśliwskiego obchodzi przede wszystkim stan psychiki ludzkiej i pewien rodzaj wspólnoty międzyludzkiej, ściślej — więzi rodzinnych. Autor „Nagiego sądu" czyni to na przykładzie stosunków między ojcem, matką a synem, z tym że cały czas w polu widzenia pozostaje ojciec z synem, ojciec jest punktem odniesienia dla wszystkich rozgrywających się w powieści zdarzeń. Postać ojca uzyskuje tu wiele cech postaci mitycznej — jest wszechmocny, surowy, stanowi ostatnią instancję dla każdej sprawy. Te przymioty zachowuje ojciec także po swojej śmierci: nawet wówczas kładzie się cieniem na życie syna, który do końca życia nie przestaje spełniać wyłącznie tej roli. Istniał dzięki ojcu i do końca życia pozostanie jedynie synem swego ojca.

Oczywiście zależność ta została wyolbrzymiona dzięki temu, iż jest to jedyny problem powieści, główny jej wątek myślowy. Przy tym tylko postać ojca została zarysowana w sposób pełniejszy, wszystko inne jest tłem. Autor dokonał całkowitego wyłączenia spraw swoich bohaterów ze świata, społeczności, w której żyją, dzięki temu rzeczy dziejące się w „Nagim sadzie" ukazane zostały w stanie czystym, wyjaskrawione i wyostrzone. Ta izolacja postaci, skazanie ich tylko na siebie, spowodowała ogromne napięcie ich psychiki i zwiększenie intensywności ich przeżywania, aż do halucynacji i przywidzeń. Odnosimy niekiedy wrażenie, że opowieść bohatera nie jest sprawozdaniem z rzeczywistych wydarzeń, ale zapisem marzeń, wyobrażeń, snów, wydarzeń, o których nie wiadomo, czy istniały naprawdę, czy też stanowią owoc złudnej wyobraźni. Często pojawiają się wspomnienia z dzieciństwa. Wówczas bowiem pozycja ojca wobec syna jest szczególnie dominująca, a poza tym przeżycia najdawniejsze zalegają w pamięci najmocniej, najdłużej pozostają żywe. Dzięki temu łatwo się odnawiają, aktualizują i nakładają lub przeplatają się z tym, co się dzieje później. Stąd tak częste zakłócanie chronologii w „Nagim sadzie", mieszanie planu wspomnienia i teraźniejszości.

Te zresztą cechy sprawiają niejaką trudność w odbiorze książki. Wymaga ona napiętej uwagi, cierpliwości, zawracania do stronic poprzednich, aby odszukać związki wewnętrzne wątków. Nie odbierają jednak wspomniane właściwości książce Myśliwskiego wielkiej konkretności i plastyki, myślę o niektórych scenach takich, jak powrót koniem ze szkoły, rozmowa ojca z dziedziczką i poszukiwanie dziewięciu mostów. Przyznam się, że nie udziwnienia kompozycyjne i stylistyczne, czasem przewrotne i zbyt autonomiczne uderzają, ale właśnie miejsca, które ostro, by nie powiedzieć realistycznie, wyrażają widzenie świata. Co nie znaczy, bym autora „Nagiego sadu" namawiał na „mały realizm" osadzony w wiejskich opłotkach czy na obyczajową powieść o wsi widzianej naturalistycznie. Myśliwski dał zapowiedź na coś więcej. Świadomość pisarska, jaką już w swej pierwszej książce ujawnił, pozwoli mu wyznaczyć tereny przyszłych poszukiwań.

Tadeusz Kłak

Wiesław Myśliwski: Nagi sad. Warszawa 1967. PIW.

Pamiętnik spod strzechy

Edmund Skarżyński

„W krajobrazie mocno falistym"...

SŁOWA te pochodzą z pamiętnika Zofii Staniszewskiej, guwernantki dworskiej ze wsi Studzianki w powiecie kraśnickim, która „z własnej ochoty dzieci chłopskie uczyła" i skrupulatnie gromadziła wszelkie obyczaje panujące w tamtejszej okolicy. W roku 1902 spisała swoje uwagi na 138 kartkach, przyozdabiając je rysunkami oraz nutami ludowych przyśpiewek i wysłała do czasopisma geograficzno-etnograficznego „Wisła" w Warszawie. Fragmenty wydrukowano, uznając je za swoistą rewelację. Całość przechowała się w Studziankach. Mieszkańcy tej wsi, o których wyrażała się nie zawsze pochlebnie, *bo lenie są i higieny nie przestrzegają, zaś od lekarzy stronią, gusłami się zadawalając"* — pilnie hołubili swój pisany portret. Przetrwał on przez dwie wojny światowe...

Ignacy Mazur, mieszkaniec Studzianek, który od blisko 15 lat zasiada w lubelskiej WRN i tyleż lat jest członkiem PK ZSL w Kraśniku, udostępnił mi te zapiski. Zawierają one bogaty materiał etnograficzny, ilustrują ówczesny poziom życia, obyczajowości, kultury, dają wyobrażenie o wsi sprzed 65 lat. Równocześnie umożliwiają dokonanie porównań, konfrontacji.

* * *

Dzisiejsze Studzianki mają światło elektryczne. W widnych ładnych domach są radioodbiorniki, 27 pralek, 7 telewizorów. Młodzi chłopcy i dziewczęta spotykają się w Klubie Rolnika. Są motocykle, narzędzia rolnicze, 4 traktory należące do kółka rolniczego. Ta niewielka wieś może się poszczycić wydaniem 3 inżynierów, 4 lekarzy, 5 magistrów, 2 pułkowników i kilku oficerów „niższej rangi". Co pewien czas przyjeżdża tu w odwiedziny generał Wacław Czyżewski, który podczas okupacji hitlerowskiej znajdował oparcie i pomoc u mieszkańców Studzianek.

Zofia Staniszewska, która w pamiętniku opisała zacofanie i ciemnotę *kamieniem kładącą się na życiu ludności*, zapewne nie uwierzyłaby, że powstanie tu piętrowy, nowoczesny ośrodek zdrowia, murowana obszerna remiza strażacka, agronomówka i że miejscowa biblioteka uplasuje się na czołowej pozycji w powiecie. Schludne obejścia, w większości pokryte eternitem, papą lub dachówką, są rezultatem zapobiegliwości, codziennej krzątaniny mieszkańców. Ale wtedy, w roku 1902, *widniały poczerniałe chaty, bez dostępu powietrza, pełne wyziewów i choroby...*

Kiedy dziedzic pozwolił, *wieśniak wybierał miejsce, uzgadniał z nim i przystępował do wznoszenia potrzebnej chałupy czy stodoły...* Według opisu pamiętnikarki proces budowy przedstawiał się następująco: *...Zrąb chaty budują zawsze z bali 4-calowych. Najpierw tedy stawia się w czterech rogach i w środku ścian pale dębowe, wysokie na łokieć, lub odpowiedniej wielkości kamienie — gładkie, najlepiej z rzeki wyłowione. Na kamienie kładzie się „przycieś" czyli podwalinę, na przyciesi zrąb wysokości 5—6 łokci. Dalej idą belki równo układane, których końce przyciskają płatwie, w tych znowu osadza się krokwie umocowane bantami, a z wierzchu przybija się łaty. Na belkach układa się i przybija deski dwucalowe, tworzące pułap, na który kładzie się polepę z gliny na 3—4 cale grubą. Całą chatę pokrywają strzechą słomianą. Grzbiet zowie się kalenicą, dwa mniejsze boki szczytami lub tyłami i są poszywane gładko leżącymi źdźbłami słomy żytniej...*

Być może, ten i ów uśmiechnie się z tego sposobu budowania. Ale musimy wiedzieć, że wtedy nie wznosiło się domów inaczej. Tajemnicę stawiania ścian i kładzenia polep przekazywały sobie pokolenia. Budynki sprzed 100 lat dochowały się do dzisiejszych czasów i trzymają się wcale krzepko. I jeśli nawet na 87 budynków prawie połowa jest już murowana, to wcale nie oznacza, że wygasły zupełnie tęsknoty mieszkańców za zbudowaniem sobie drewnianego domu. Młodzi wolą, oczywiście, obszerne budynki murowane, z dużymi oknami. Dlatego wzniesione w ciągu ostatnich lat domy są przestronne, wyposażone w łazienki. W mieszkaniach meble na wysoki połysk, wersalki, tapczany, wyścielane krzesła, na ścianach dywany (nie na podłodze, bo szkoda), dużo makatek, poduszek...

* * *

Współcześni studzieniacy nie żałują pieniędzy na urządzenie mieszkania, chętnie nabywają przedmioty kosztowne — motocykle, meble na wysoki połysk, radioodbiorniki, telewizory.

A jak mieszkali 65 lat temu? Pamiętnikarka relacjonuje:

W sieni znajduje się kociuba do wygarniania węgli z pieca chlebowego, łopata do wsadzania bochenków, jarzmo do noszenia wody, stągiew czyli beczułka z wodą, cebrzyki, „łuszaw" do umywania garnków. Przedmioty te sami sobie wyrabiają. Są one przenoszone w razie potrzeby do innych pomieszczeń chaty. W izbie po lewej stronie jest komin z blachą, a za nią piec chlebowy, z boku zaś dotyka piec ogrzewalny, znacznie nie dochodzący do pułapu. Za piecem przy ścianie „młynek" czyli żarna, dalej po tej samej stronie jest łóżko, a w ścianie przeciwległej drzwiom — okno na 1 i ćwierć łokcia szerokie, pod oknem ława, a przed nią stół... Nad łóżkiem obojga gospodarzy znajduje się „drążek", na którym wiesza się sukmany, kaftany i chusty. Dla dzieci jest drugie łóżko, w którym wszystkie śpią razem... Podłogi z desek z reguły nie ma. Służy temu ubita ziemia. Chatę oświetlają łuczywem, a tylko nieliczni naftą...

* * *

Wieś, położona w „krajobrazie mocno falistym", wydała liczną grupę działaczy. Oni rozwijają czyny społeczne i wysuwają inicjatywy. Dzięki nim zbudowano remizę, nowoczesny ośrodek zdrowia, zlewnię mleka, dwa sklepy spółdzielcze, domy, stodoły, obory. Ich zapobiegliwość wyraża się w stałym ulepszaniu gospodarowania, przeobrażaniu oblicza wsi.

I co dziwne, Zofia Staniszewska w swoim pamiętniku pisze: *Jest w Studziankach rodzina Mazurów, którzy się wyróżniają pracowitością i dobrymi obyczajami*, a dalej nadmienia: *szczególną ogładę wykazuje Karol Kozyra, młodzian sprytny, czytać umiejący, który tutejszym rówieśnikom rej wodzi...* I właśnie Mazurowie — Ignacy i jego brat Gościewit należą do czołówki działaczy, zaś Zygmunt Kozyra, poto-

→

ZBRODNIA W STASINIE

(Dokończenie ze str. 1)

Mężczyzna zaczął wypytywać Białnożychę, skąd jest, jak się nazywa, kto z nią mieszka, jakich ma sąsiadów, jak jej się powodzi? Mówił po polsku, ale z obcym akcentem. Potem spytał, czy nie ma chleba. Zaprosiła go na kolację.

Przyszedł dwa dni później, nocą. Powiedział, że dawno już nie jadł gorącej kolacji. Gospodyni odpowiedziała, że może przyjść kiedy zechce, a ona podzieli się z nim tym, co będzie miała. Potem dopiero zapytała: „wy ruski?" „Da, ruski". Ośmielony gość poprosił o zrobienie mu kąpieli. Rutkowski, który był obecny przy tej rozmowie, nagrzał wody i nalał do balii, a Białnożycha chodziła wokół domu i pilnowała, by nie nadszedł ktoś obcy.

Następnej nocy kapitan Grigorij (bo tak przedstawił się gospodarzom) przyszedł do Wasylkowej z drugim Rosjaninem, młodym lejtnantem Wasią, ubranym w radziecki mundur wojskowy, z dystynkcjami i baretkami odznaczeń. Teraz wykąpał się Wasia, kapitan zaś urządził w piwnicy skrytkę na radiostację i nadał jakiś meldunek. A za kilka dni przyprowadzili pozostałych żołnierzy: Iwana, Zorża, Władysława i Grigorija II. Szóstka ta była grupą zwiadowczą ze zgrupowania partyzanckiego generała Kowpaka, działającego wtedy na Wołyniu. Zadaniem grupy było obserwowanie ruchu wojsk na drodze chełmskiej i na kolei. A — przypomnijmy — był to ważny rok 1942.

Rutkowski i Maria Wasylko kręcili się stale po okolicy ze względów zarobkowych, co nikogo nie dziwiło, bo robili tak zawsze. Zbierali przy tym sporo wiadomości potrzebnych partyzantom. Prawdopodobnie kapitan Grigorij ponawiązywał i jakieś inne kontakty z Polakami, zapewne i z członkami lewicowych organizacji podziemnych, na ten temat jednak nigdy ze swymi gospodarzami nie rozmawiał, a oni nie wypytywali. W tamtych czasach dobrze było wiedzieć to, co człowiekowi potrzebne, ale niedobrze, po prostu niebezpiecznie, to co niepotrzebne.

Sześciu Rosjan mieszkało w lesie, w bunkrze ziemnym. Do Wasylkowej przychodzili tylko zjeść, wykąpać się, wypocząć. Gdy któryś źle się czuł, gospodarze urządzali mu na strychu lub w stodole kryjówkę i jak mogli kurowali go. Partyzanci przychodzili i wychodzili zawsze nocą. Lecz na wsi, nawet na kolonii, trudno ukryć przed sąsiadami obecność obcego człowieka. Rosjanie zresztą musieli pokazywać się i innym ludziom. Wasylkowej i Rutkowskim powodziło się źle, nie bardzo mieli sami co jeść, a co dopiero mówić o wykarmieniu sześciu młodych mężczyzn. Partyzanci musieli rekwirować u chłopów żywność przeznaczoną na kontyngenty. Od Tadeusza Taczały z Lipówek wzięli 10 metrów zboża, zostawili na nie pokwitowanie, przywieźli w nocy zboże do Rutkowskich i zmelli w żarnach. Ten gospodarz dał im kilka kur, tamten słoniny czy masła. To wszystko nie mogło ujść uwadze okupanta. Być może więc tą drogą, być może inną Niemcy dowiedzieli się o istnieniu grupy Grigorija. Wiadomo zaś, że żaden ruch partyzancki nie może istnieć bez poparcia ludności miejscowej. „W Stasinie każdy wiedział, że do Rutkowskiego przychodzą radzieccy partyzanci. Gdyby nie Białnożycha, która rządziła tam wszystkimi i gdyby nie Rutkowski, który był człowiekiem mądrym i śmiałym, Rosjanie nie utrzymaliby się tutaj dłużej" — powiedział mi podczas zbierania tych wiadomości Aleksander Kościuszko, jeden z sąsiadów Rutkowskich.

We wrześniu 1942 r. Michał Rutkowski został aresztowany. Rutkowscy nie mieli własnego konia, więc Niemcy wzięli od syna Kościuszki, Pawła, podwodę i odwieźli Rutkowskiego do więzienia w Siedliszczu. (30-letni Paweł został w 1943 r. rozstrzelany w sąsiednim lasku wraz z 18-letnim Władysławem Wojcieszynem i 40-letnim Józefem Rydlińskim).

— Dwa dni później — wspomina dziś Kazimiera Tokarska, z domu Moradewiczówna — wpadło kilku żandarmów do nas i pytają, czy nie ma ruskich. Mówię, że skądże! Kazali mi zaprowadzić się do obory, pokazać wszystkie kąty, a kiedy wychodzili zobaczyłam, że inni prowadzą starą Białnożychę i jej drugą córkę, Mańkę.

Nazajutrz Rutkowska poszła do Siedliszcza starać się o uwolnienie matki, siostry i męża. Niemcy nawet nie chcieli z nią rozmawiać, zgodzili się tylko, aby przysyłała przez dzieci jedzenie. Alfreda, która nosiła potem obiady, widziała ojca straszliwie pobitego, z uszu ciekła mu krew. Pobite były również stara Wasylkowa i Maria.

Po tygodniu Niemcy wywieźli obie Wasylkowe i Rutkowskiego do więzienia w Chełmie. Zofia zaniosła im jedzenie. W kancelarii nie przyjęto paczki, natomiast kazano, by następnego dnia przyszła odebrać ubrania cywilne więźniów.

„Po co nam ubrania, jeśli ich nie puszczają" — powiedziała Rutkowska dzieciom i nie poszła.

Kazimierz Karasek, mieszkaniec wsi Marynin, widział jak w marcu 1943 roku Rutkowskiego z gronem innych więźniów, wszystkich ubranych w papierowe ubrania, wieźli na miejsce masowych straceń do lasu w miejscowości Borek pod Chełmem. Dzień przedtem Niemcy zawiadomili starą Wasylkową, że cierpliwość ich się wyczerpała, więc jeśli w ciągu 24 godzin nie przyzna się do przechowywania radzieckich skoczków spadochronowych i nie powie, gdzie oni się teraz ukrywają, jej zięć, córka Maria i ona sama zostaną rozstrzelane. Przez całą noc Wasylkowa miotała się jak nieprzytomna po celi, to znów klęczała i modliła się, powtarzając cały czas: „Nic nie wiem, jestem niewinna. Córka i zięć też nie wiedzą i są niewinni". Maria, wielokrotnie przesłuchiwana i bita, nie miała sił na nic poza płaczem. Informacje o ostatnich dniach Wasylkowej i jej córki przeciekły na zewnątrz murów więziennych i dotarły do ich rodziny. Jak i kiedy zginęły, tego nie wiadomo. W każdym razie nie powróciły do domu. Michała Rutkowskiego rozstrzelano w Borku.

Tymczasem w Stasinie życie toczyło się swoim torem. Zofia musiała teraz sama utrzymywać czwórkę dzieci. Ale w dalszym ciągu jej dom był schronieniem dla szóstki partyzantów. Zachodzili jednak rzadziej, tylko dla nadawania wiadomości. Radiostacja ich przez cały czas ukryta była w piwnicy domu Wasylkowej.

Niedługo po śmierci Rutkowskiego kapitan Grigorij i lejtnant Wasia w lesie pod Pawłowem natknęli się na kilkunastu żandarmów. Kapitan zginął od pierwszej serii. Wasia skoczył w głęboki parów i uciekał ostrzeliwując się. Gdy przy końcu parowu wyskoczył i zobaczył, że jest otoczony, zabił się sam. Niemcy pochowali ich, tylko w koszulach, na cmentarzu w Pawłowie. Kilka dni później żandarmi wpadli do Rutkowskiej i zaczęli ją bić domagając się, by powiedziała, gdzie jest reszta Rosjan. Maltretowali ją tak, że błagała o zastrzelenie. Ale twierdziła uparcie, że nic nie wie.

Pozostałych czterech partyzantów z grupy Grigorija zginęło później w lesie. Niemcy zaskoczyli ich śpiących w bunkrze i wrzucili granat. Niedługo potem u Rutkowskiej zjawiła się przelotnie inna grupa Rosjan, po pewnym czasie jeszcze inna. Przychodzili i odchodzili. Czasem niektórzy mówili, że wiedzą, iż w zabudowaniach jest ukryta radiostacja, nadawali meldunki i odchodzili. Do Stasina wpadali także kilkakrotnie Niemcy, zachodzili i do domu Rutkowskiej. Ale nigdy jej nie zastawali. Przychodziła tylko na kilka godzin w nocy, a dnie całe spędzała z dziećmi i krową w lesie.

W połowie czerwca 1943 r. — dokładnej daty dziś nikt nie pamięta — Zofia Kościuszkowa, mieszkająca bliżej drogi chełmskiej, przybiegła do Rutkowskiej z ostrzeżeniem, że jedzie furmanka z czterema żandarmami. Zofia wzięła dzieci i krowę i uciekła. Wróciła wieczorem i zabrała się do przygotowywania posiłku, a córkę wysłała do lasu po krowę. Alfreda spotkała po drodze furmankę z czterema mężczyznami w cywilnych ubraniach, ale nie zwróciła na nich uwagi. W latach okupacji ludzie często podróżowali bocznymi drogami, unikając stykania się z Niemcami.

Prowadząc krowę już w pobliżu domu usłyszała strzał w zagrodzie.

mek ówczesnego Karola, przewodzi w przedsięwzięciach społecznych, jest prezesem kółka rolniczego, prowadzi księgowość w spółdzielni zdrowia oraz jest radnym w PRN.

Wielu studzieniaków, którzy opuścili rodzinne strony, zajmuje poważne stanowiska, zdobyło atrakcyjne zawody i specjalności. Żadna chyba wieś nie obdzieliła kraju tak szczodrze w działaczy i wykwalifikowanych fachowców. Długo jeszcze można by wymieniać jej osiągnięcia. Mieszkańcy słusznie się nimi szczycą, chociaż nadal mają sporo potrzeb. Do najpilniejszych należy droga. Kiedy nastają roztopy, czy jesienne deszcze, gliniaste pagórki zamieniają się w nieprzebytą przestrzeń odcinającą wieś od świata. Ośmiokilometrowy odcinek do bitej drogi stanowi ową granicę, której nie sposób przekroczyć inaczej, jak w długich gumowych butach lub... na koniu.

Z tego właśnie powodu nie można od dłuższego czasu zaangażować lekarza do spółdzielni zdrowia. Piękny budynek, oddany do użytku w 1967 roku, dobrze wyposażony w sprzęt, nie może spełniać swoich zadań. W gabinetach medycznych urzęduje, jak dotąd, jedynie pielęgniarka. Dziwny paradoks. Wieś, wydająca lekarzy, nie ma u siebie na stałe osiedlonego medyka. Mieszkańcy, którzy uczestniczą w czynach społecznych i sami upiększają swoje obejścia gospodarskie oraz budują obiekty użyteczności publicznej, nie mogą pokonać drogi. Przerasta to ich możliwości. Pomoc władz jest nieodzowna.

* * *

Wróćmy jednakże do pamiętnika Zofii Staniszewskiej. Przedstawiony przez nią obraz wsi pozornie graniczy z mistyfikacją, ale należy mu wierzyć, bo opiera się o konkretne fakty i spostrzeżenia. *Życie ściera z twarzy mieszkańców okruchy urody. Zostają lica poczerniałe od słońca i wiatru, zbrużdżone pracą, troską i niedość pożywną strawą. Wargi sine, oczy wyblakłe i całość tak pospolita, że wszyscy zdają się być podobnymi do siebie, jak podobne są szare zagony... Dziobatych między nimi wielu, gdyż ospa od czasu do czasu zbiera liczne ofiary...*

Dalej czytamy: *Leczenie odbywa się u znachorów i wróżek. Nie trzeba dowodzić, jak zgubne skutki sprowadza taki stan rzeczy. Całe rodziny wymierają na durzycę, ospę, suchoty, szerząc dookoła siebie zarazę. Gdy jaka choroba złośliwa zakradnie się do czyjejś chaty, wtedy niby wiedźma zawzięta dopóty znęca się nad jej mieszkańcami, dopóki nie zabije z połowę, nie wyniszczy ostatnich sił we wszystkich...*

Rozpowszechnione gusła i wiara w nieomylną moc znachora stworzyły liczne „niezawodne" metody leczenia. Pamiętnikarka stwierdza: *Bodaj panujące jest noszenie koszuli chorego do wróża. Ten ogląda ją, kładzie na ławie, na niej stawia miseczkę z wodą, na którą leje roztopiony wosk, dzierżąc w ręce nóż zwrócony ostrzem do wody, szepce przy tym niezrozumiałe słowa. Następnie zdejmuje wosk ostrożnie z wody i wpatrując się w powstałe kształty, wygłasza wyrok w takim oto sensie: wietrzniak, wietrzniak, a tu obora, pod nią płótno. Widzita płótno, gadam wam płótno, to strach znacy, wielżeński strach, co kości kręci. Moja matko! waszego chłopaka wiater zawinął, zły wiater, co złemi drogami chodzi. Weźta ziela święconego i okadźta chłopaka do dziewiątego razu, a potem żywo nakryjta go pierzyno i nie dajta mu zipnąć bez jeden pacirz. To wam gadam — choroba z dymem wnet poleci...*

Inny przepis leczenia — to *zaszywanie w płachcie*. Gdy chorego zawiało trzeba *chłopczyska rozebrać z koszuli, poobcinać pazury i włosy, zaszyć w oszewce i zanieść pod figurę koło drogi. Nakrywszy koszulą, pięcioma kamieniami przycisnąć — jeden kamień na końcu rękawa, drugi takoż u drugiego, trzeci pośrodku, gdzie miarkujecie, że pępek, dwa poślednie na rogach u podołka. Potem garść prochu z drogi rzucić i uciekać, nie oglądając się za siebie.*

Zabiegi z koszulą to ostateczne remedium. Przed tym bywa zamawianie, kadzenie, zaklinanie, potrząsanie, smarowanie, a najskuteczniejszym sposobem jest *uciąć kotu ogon i pocierać krwią bolące miejsce*, albo *kiedy żołądek dokuczy, na który już żadnego nie masz pocieszenia i w środku urosły wrzody, trzeba postarać się o wodę, którą obmyto umarlaka...*

* * *

Kiedyś w Klubie Rolnika Ignacy Mazur odczytał zebranej młodzieży fragmenty pamiętnika sprzed 65 lat. Smutna wymowa faktów, ukazująca ówczesny obraz wsi, przyjmowana była salwami śmiechu. Dla współczesnych obywateli Studzianek, zwłaszcza tych młodych, są to istotnie rzeczy komiczne i zupełnie niezrozumiałe, ale starsi pamiętają i sami przeżywali wiele z tych spraw, o których dziś można jedynie wspominać. Warto jednak konfrontować czasy dawne ze współczesnymi. Jest to bowiem niezmiernie pouczające.

Przyklaskujemy też inicjatywie podjętej przez studzieniackich działaczy, którzy wybrane fragmenty pamiętnika chcą wystawić w formie inscenizacji. Zawarte są w nim i smutne piosenki, i obrzędy weselne, zwyczaje w zapusty oraz *cały obraz tej wioski, która jest niczym nie wyróżniającą się miejscowością*. Ale obecnie należy ona do przodujących pod względem czynów społecznych, inicjatyw kulturalnych i oświatowych.

Z dorobku Janusza Urbana

Osiedle LSM w Lublinie

Lublin odchodzący w przeszłość

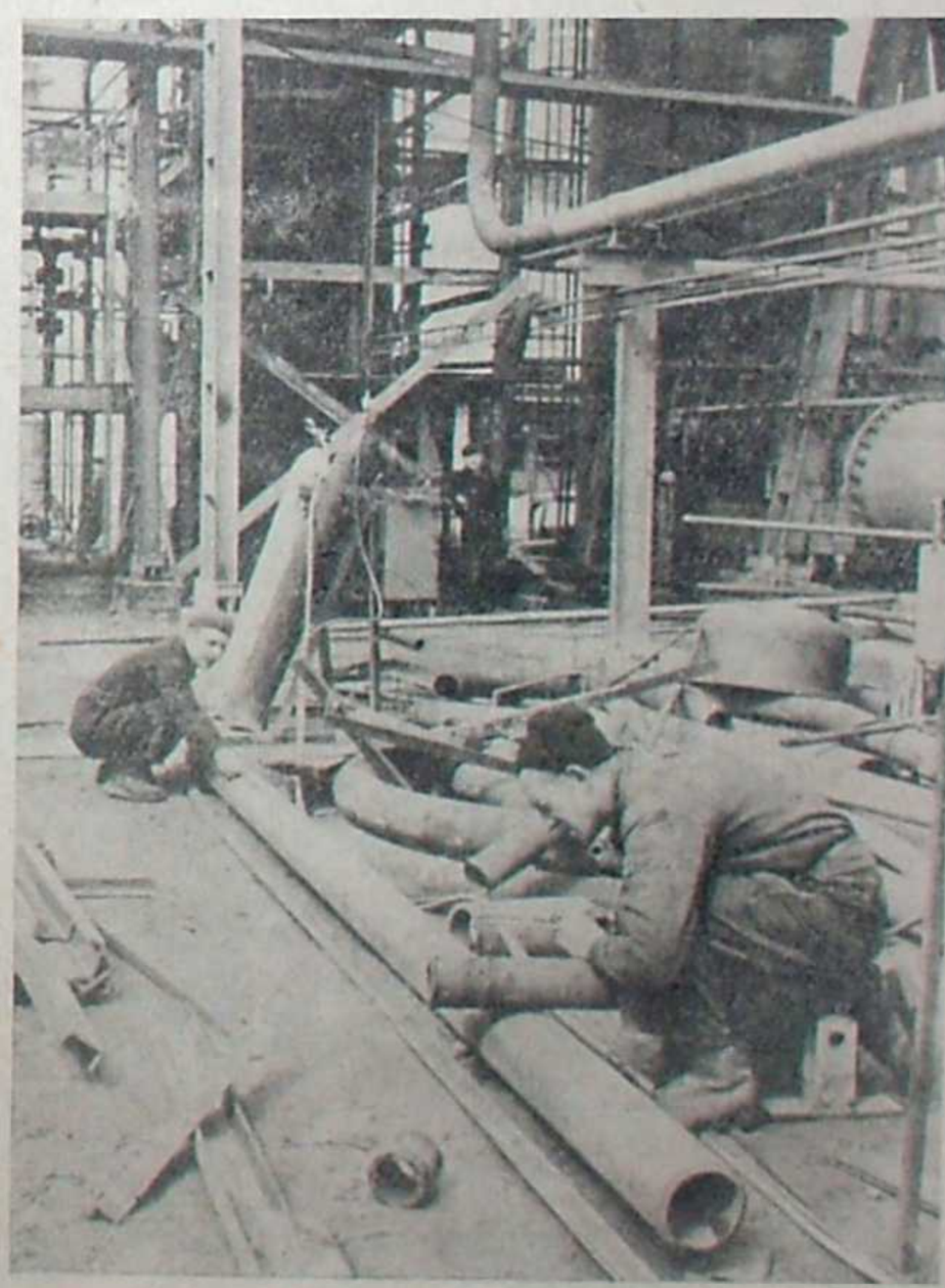

Z budowy puławskich Azotów

Zrozumiała natychmiast, że musiało się stać coś strasznego. Pobiegła do sąsiada, Wasyla Moradewicza. Usłyszała drugi strzał. Za chwilę przyszedł jeden z tych cywilów z automatem w ręce i kazał Moradewiczowi pochować Rutkowską. Adfreda poszła z nim. Matka jej leżała martwa ze straszliwymi krwawymi dziurami na ciele. Prawdopodobnie zabito ją pociskami dum-dum. Niemcy polecili Moradewiczowi zakopać Rutkowską pod oknem jej mieszkania, sami oczekując do końca tego pogrzebu. Potem zapowiedzieli, aby nikt nie ośmielił się przenosić zwłok na cmentarz czy w inne miejsce, ani też stawiać tu krzyża lub tabliczki.

Świadkiem śmierci Rutkowskiej był Aleksander Kościuszko. Gospodarstwo jego leży na małym wzniesieniu i sąsiaduje z ziemią Rutkowskich. Orał wtedy pole i widział, jak wywlekli Zofię z domu, rzucili ją na kolana. Rutkowska zdążyła tylko krzyknąć: „Nie zabijajcie mnie, żywię czworo dzieci, co z nimi będzie..." Kula przerwała jej ostatni protest.

Czwórkę dzieci wziął do siebie brat zabitej a syn Białnożychy, Stefan Wasylko, gospodarujący w kolonii Siedliszcze. Było mu ciężko, więc Alfredę oddał do dalekiego kuzyna, zamożnego gospodarza w Cycowie. Wczesną wiosną 1944 roku Freda zniknęła, zaś kuzyn wyjaśnił Stefanowi Wasylce, że nie wie, co się z dziewczynką stało. „Po prostu wyszła i nie wróciła" — powiedział. Rodzina opłakała jeszcze jedną ofiarę.

Dwa lata temu Stefan Wasylko nieoczekiwanie dostał od Fredy list. Mieszkała w Związku Radzieckim, zapowiedziała przyjazd. Rozmawiałem z nią dopiero w przeddzień jej powrotu do ZSRR. Powiedziała mi, że z Cycowa uciekła, gdyż obawiała się, że będą ją ścigać i zabiorą na roboty do Niemiec. Pojechała do Warszawy z pewną handlarką. Po dwóch tygodniach do mieszkania handlarki przyszedł jakiś mężczyzna i powiedział Fredzie, aby natychmiast wróciła do domu, wydobyła ze schowka radiostację i poszła z nią do lasu, gdyż jest ona potrzebna partyzantom, a sami nie mogą jej odnaleźć. Pojechała, wyciągnęła ze schowka w piwnicy babki walizkę z nadajnikiem i poszła do lasu. Na samym brzegu czekali na nią Rosjanie. Powiedzieli, że czekają już 5 dni.

Przebywała z nimi aż do wyzwolenia. A potem z całym oddziałem została włączona do regularnych oddziałów Armii Czerwonej. Miała wtedy 15 lat, lecz była wyjątkowo dobrze rozwinięta, powiedziała, że ma 17 i pół i dodała, że jest Białorusinką. Skąd te dwa kłamstwa nie wiem, a Freda tłumaczy mi to dziś niejasno. Myślę jednak, że pewnie zakochała się, a obywatelom radzieckim wtedy nie wolno było żenić się z cudzoziemkami, więc znalazła taki wybieg. Przez trzy miesiące była w szkole kierowców czołgów. Potem poszła na front. Służyła w 33 brygadzie 9 korpusu gwardyjskiego, wchodzącego w skład I Frontu Białoruskiego. Dojechała do Odry, gdzie jej czołg został rozbity, ona zaś ciężko ranna i poparzona. Od 14 kwietnia 1945 r. do marca 1946 leżała w radzieckich szpitalach wojskowych w Poznaniu, Szczecinie, Berlinie i znów w Poznaniu. 12 marca 1946 r. wcielono ją do 206 zapasowego pułku, powracającego do ZSRR. Przez dwa tygodnie transport z tym pułkiem stał na dworcu w Rejowcu. Nie poszła ani razu odwiedzić krewnych. Mówi dziś, że bała się tych wspomnień, że od kogoś dowiedziała się o śmierci członków rodziny, że nie mogła, gdyż pociąg cały czas stał pod parą. Ale pewnie znów chodziło o mężczyznę, z którym nie chciała się rozstać. Moje przypuszczenia potwierdza fakt, że zaraz w roku 1946 wyszła za mąż. Mieszkała w Krasnodarskim Kraju, była kierowcą. Miała z mężem dwoje dzieci, które jednak zmarły. Młodzieńcze uczucia wygasły i w roku 1962 rozwiodła się, w następnym wyszła drugi raz za mąż, za marynarza. Mieszka we wsi Orłówka pod Sewastopolem, jest kierowcą w sowchozie im. Osipenki. Prenumeruje „Życie Warszawy" i „Trybunę Ludu". Po polsku mówi nieźle, choć czasem brakuje jej pewnych słów.

Brat Tadeusz, który mieszka na Śląsku i jest operatorem dźwigu budowlanego, przyjechał do Siedliszcza i na powitanie klęknął przed nią, tak przypomniała mu matkę. Drugi brat, Edwid, jest marynarzem, nie spotkała się z nim, był w tym czasie w długim rejsie. Syn Marii, Stefan, był górnikiem, zginął w kopalni w roku 1951. Freda mówiła mi, kogo podejrzewa przez cały czas o zdenuncjowanie rodziny w gestapo i o zdradzenie kryjówki grupy Grigorija. Chciałaby wyświetlić całą sprawę, lecz jeden z podejrzanych przez nią zmarł, inny gdzieś wyjechał, a ona nie ma dowodów.

Freda ma żal, że nie znalazła grobu swej matki. Budynki Wasylkowej i Rutkowskich zostały rozebrane. Prochy Zofii spoczywały przez 15 lat w miejscu pochowania. W roku 1958 ekshumowano je do zbiorowej mogiły na cmentarzu w Lublinie. „Czy nie zasłużyła na to, aby pochowano ją osobno, a na grobie ustawiono tablicę z nazwiskiem jej i nazwiskami ojca, babki i ciotki? By pochowano ją tu, w Siedliszczu?" — pyta Freda i płacze. Cóż mam odpowiedzieć na te łzy?

Bujne zboże rośnie tam, gdzie niegdyś znajdowały się zabudowania i zagroda Wasylkowej i Rutkowskich. Samotna jabłonka jest jedynym oznaczeniem miejsca, w którym pochowana była Zofia. Zbyt skromny to pomnik.

Romuald Wiśniewski

Od Szewczenki do Tyczyny

Przekłady z poezji ukraińskiej K. A. JAWORSKIEGO

Taras Szewczenko (1814–1861)

* * *

Już nic tak nie dokuczy
Jak ci dobrzy ludzie —
I okradną i potępią
Roniąc łzy w obłudzie,
I do chaty cię poproszą
Radość wielką głosząc.
Będą pytać się o ciebie,
Aby potem wyśmiać,
Aby ciebie wyśmiać,
Dobić cię nareszcie...
Bo bez wrogów żyć na świecie
Da się jakoś jeszcze,
A ci ludzie zacni
Wszędzie-ć znajdą łacnie
I na tamtym nawet świecie
Nie zapomną przecie.

Iwan Franko (1856–1916)

* * *

Suną chmury od południa
Niby wojsko w zwartym szyku.
Kryją słońce ich sztandary,
Bębny warczą za górami.

Bębny warczą za górami
I w powietrzu grają trąby.
Szable groźnie połyskują
I z rozmachem tną ciemności.

W krąg z rozmachem tną ciemności,
Oślepiają blaskiem oczy;
Jęczy niebo jęczą góry,
Tylko zagrzmi gdzieś armata.

Tylko zagrzmi gdzieś armata,
Kul gromada świśnie w locie
I zapłacze ciężko niebo
Patrząc na pobojowisko.

Sonet o sonecie

Sonety — niewolnicy. Myśl w nich jest ściśnięta
Czterech strof obcęgami, trwożnym drżeniem zdjęta.
Tak rekrutowi lekarz mierzy pierś wypiętą
I tak rekruta mundur swą ciasnością pęta.

Sonety to panowie. By dogodzić modzie,
Gotowe są myśl zdradzić w czterech strof pochodzie
I kwiatów są wspaniałych podobne urodzie,
Co jałowe uwiędną bez śladu w przyrodzie.

Niewolnik i pan dumny! Jak bożek dwulicy.
Kontrasty to rzecz zwykła. A słowo się łamie,
Nie znają przecież jeszcze sił swych niewolnicy.

Więc wiersze do szeregu! Razem ramię w ramię,
Ogrzane wolą jedną zmierzając do mety
Utworzą korne strofy potężne sonety.

Łesia Ukrainka (Larysa Kosacz-Kwitka) (1871–1913)

Z „Rytmów"

Błyskawicami tylko mająż latać,
Te słowa moje, które smutek zrodził?
A czemuż by nie mogły wzbić się w górę
Ku niebu pieśnią srebrną, skowronkową?
Nie mogły się rozsypać nad polami
Jak dźwięczny deszcz promieniem przeświecony?
Nie mogły mi zakrążyć korowodem
Jak liście, które nagle burza zrywa,
Jak diamentowe zamieci płateczki?
Czy gwiazda tylko tym jaśniejsza świeci,
Im bardziej czarna noc jest dookoła?
Czy tylko w baśni wyrasta kalina
Z ludzi zabitych by potem czarować
Żyjących serca piszczałeczką cudną?
Czy tylko w baśni łabędź ma umierać
Nie z krzykiem śmierci, ale z pieśnią czułą?

Bohdan Igor Antonycz (1909–1937)

Do mojej pieśni

Wiruje świat wiośniany i zielony,
Śpiew wznosi jesion i serce me znów.
Pieśń moja krąży natchnionym wrzecionem,
a na wrzecionie tyle srebrnych słów.

Pijany jesion od słońca się pali,
natchnienia pierścień na serce mi padł.
Hej, leć i kręć się, upajaj i szalej,
piosenko moich dwudziestu trzech lat.

Klony

Chylą się dwa samotne klony,
czytając wiosny elementarz,
znów modły ziemi śle zielonej,
zielony sam jak szczaw i mięta.
Mchem zarośnięty lis uczony
poetykę dla klonów pisał.
Śpiewa mi dzień, śpiewają klony
i w niebie lśni słoneczna spisa.

Maksym Rylski (1895–1964)

* * *

Ognistym piórem wieczność pisze
Foliały nieskończone burz
I z łagodnością wiatr kołysze
Listeczki zamyślonych róż.

Piękno lśni w krąg, haftuje złotem
Niebiosów głębię w wiosny czas,
A my zadeptujemy błotem
To wszystko, co pięknego w nas.

* * *

Dym zamyślony, daleki i biały,
Na zgiętej półce szereg książek starych,
I nagle ptaki za oknem jak mary,
Co przeleciawszy marzenia zasiały.

I samowara łagodne mruczenie,
I zapach jabłek, chleba i herbaty,
I na podwórzu biały pies kudłaty,
I w mroku koni spracowanych rżenie,

Rodzina, bliskich twarze i postacie!
O jakże winien czuję się przed wami,
Ileż to zła zbędnego między nami!
Spójrzcie z uśmiechem spójrzcie i wybaczcie...

* * *

Dedal, ten symbol, wcielenie porywu,
Potrafił stać się choć na chwilę ptakiem,
By znowu ujrzeć krainy szczęśliwe
I do miłości i do ludzi szlaki.

I ja bym także wzniósł się nad obłoki
Na uskrzydlonej i swobodnej łodzi,
Zapomniał smutek i losu wyroki,
Jak to, co we śnie męczy nas i zwodzi.

Poleciałbym! Lecz dokąd miałbym lecieć
I gdzie są moje upragnione dale?
Miłości ma, Ikarze, miłe dziecię,
Straciłem ciebie i już w dół się walę.

Upadła miłość moja w brudne morze,
Ale nie słońce skrzydła mi podcięło,
Lecz w ciemną noc, gdy milkną gwiezdne zorze,
Pojąłem — wszystko już, wszystko minęło.

Paweł Tyczyna (1891–1967)

Pastele

1

Przebiegł zajączek,
Patrzy —
Świta!
Siedzi, grzeje się,
Rumiankiem oczy roztula,
A na wschodzie niebo pachnie.
Koguty czarny płaszcz nocy
Ognistymi nitkami stebnują.
— słońce —
Przebiegł zajączek.

2

Wypił tęgi wina łyk
Żelazny dzień.
Rozkwitajcie łąki! —
: ja idę — dzień —
Paście się trzody!
: do swej lubej — dzień —
Kołysanka, kłoski!
: w dzień.
Wypił tęgi wina łyk
Żelazny dzień.

3

Kołysało się fletami
Tam, gdzie słońce zaszło.
Na palcach
Podszedł wieczór.
Zaświecił gwiazdy,
Rozesłał mgły na trawach
I palec do ust przytknąwszy
Legł.
Kołysało się fletami
Tam, gdzie słońce zaszło.

4

Ukryjcie mnie, ukryjcie:
Jam noc, staruszka,
Niedomagam.
Od wieków w snach
Mój czarny szlak.

Połóżcie tutaj mięty
I niech szeleszczą topole
ukryjcie mnie, ukryjcie:
Jam noc, staruszka,
Niedomagam.

List „panienki jakby staroświeckiej" do Macieja Podgórskiego

SZANOWNY Panie! No i piszę do Pana ten list „n" razy już „składany" w myślach. Powstało nawet kilka jego wersji, ale ta będzie inna (oczywiście). Różnica zasadnicza — po tamtych „nic nie pozostało" (jeżeli nie liczyć fal, jakie podobno... ale nie o tym mam zamiar pisać), a ten list, nawet jeżeli go Pan nie przeczyta (niestety, mam podstawy przypuszczać, że taki los spotka ten papier), zajmie nieco miejsca w koszu (A K o s z pana Macieja Podgórskiego to już jest coś!)

Widzę, że Pan marszczy się już gniewnie i ma ochotę wyrzucić mój list pisany z takim zapałem. Błagam! niech Pan tego nie robi. Jeszcze tylko chwila cierpliwości, a zaraz wszystko wyjaśnię.

O, proszę! Już zaczynam. To jest tak. Czytelniczką „Kameny" jestem od września 1967 roku. Przyznaję, że nie czytam jej nigdy od deski do deski, lecz wybieram co smakowitsze (dla mego podniebienia) kąski, zostawiając resztę „na potem". (Ta reszta też zawsze doczeka się swojej kolejki). I stało się. Wpadła w moje ręce owa „wielka artykuła" — „Panienki jakby staroświeckie". Autorem jest (o ile nie jest to sztuczka chochlika, który w ostatnich latach grasuje swobodnie na łamach „Kameny") — właśnie Pan. Przeczytałam raz i drugi. Westchnęłam (raz i drugi). A potem?... Wybuchnęłam śmiechem.

Dziwi Pana fakt, że można śmiać się z tak poważnego mądrego i „głębokiego" artykułu? Ale ja śmiałam się, bo... to nawet wstyd przyznać, ale szczytem moich dotychczasowych marzeń był — indeks (oczywiście z samymi bdb, ale to sprawa uboczna) studentki filologii polskiej (oczywiście UJ — ale to jest w tej chwili mało ważne). Po przeczytaniu „artykuły" o „panienkach jakby staroświeckich" uznałam, że do chwili obecnej byłam naiwnym dziecięciem. Nie mam, oczywiście, najmniejszych szans na otrzymanie wymarzonego indeksu, bo:

a. jestem kobietą (lub „panienką", jak kto woli), czyli statystyczną nadwyżką wśród kandydatów na studia w kierunku filologii;

b. zaliczono mnie (bez mej zgody, zaznaczam!) do grupy „panienek na zakręcie", które czytają (nie tylko, ale jednak) „Wichurę i trzciny" Krzywickiej (notabene lektura obowiązkowa kl. 8 LO);

c. niestety (nieszczęśliwy zbieg okoliczności) nie obejmie mnie już program zreformowanej szkoły 12-letniej. Wprawdzie stare, mądre przysłowie mówi, że „dla chcącego nie ma nic trudnego", ale nie przewidziano widać wówczas podobnych sytuacji. I ja, chociaż ponad wszystko pragnę studiować filologię polską, nie mogę pokonać nawet tych trzech pozornie małych przeszkód. Bo, to są przeszkody... nie do pokonania.

Ad. a. Nawet sam Marks (gdyby chciał) nie potrafiłby zmienić mojej płci.

Ad. b. Pan to napisał, a Maciej Podgórski nie może się mylić.

Ad. c. Do klasy 1 normalnej szkoły podstawowej przyjmowane są dzieci do lat dziewięciu (zapomniałam, że kiedyś miałam tyle), a na szkołę specjalną nie mam najmniejszej chęci.

Więc chyba jednak — matematyka. (U. J!) Konkurencja słaba, zdolności jakieś tam chyba są (według opinii mojej matematyczki), no i Pan nie interesuje się matematyką w takim stopniu, aby odstraszać od niej „panienki".

A wracając do moich literackich zainteresowań muszę sprawić Panu zawód. Niestety. Nie „wychowałam się" ani na Krzywickiej, ani na Prusie, lecz na... Erenburgu. Przypadek zrządził, że dobierając się do biblioteki taty trafiłam akurat na „Burzę", która zręciła mnie ładną oprawą. Zaczęłam więc trochę nietypowo, ale „ciąg dalszy" niewiele odbiegał od szablonu. Brnęłam przepisowo przez Sienkiewicza, Prusa i Orzeszkową. (Nie ważne, że „po drodze" zahaczyłam o Balzaca, Zolę i Steinbecka, trafiłam do Camusa i Kafki i wreszcie... rozpływałam się z zachwytu nad wierszami Apolinaire'a i Cumingsa, zakochałam się w Małgorzacie Hillar, zaśmiewając się do łez z Eliota, Gałczyńskiego i Morgensterna). Nie zaniedbałam, oczywiście, ani Szekspira, ani Mickiewicza.

Nie wiem sama, jak to się stało, ale Krzywicka i Jackiewiczowa trafiły do mnie w okresie gdy byłam już (!) uczennicą 8 klasy LO. Potem przyszła kolej na Halinę Snopkiewicz — „Słoneczniki", „Paladyni", „Piękny statek". Nie uważałam nigdy siebie za krytyka literackiego, ani „Paladynów" za perłę literatury światowej, ale... nie zakwalifikowałabym nawet niezbyt lubianej „Zapałki na zakręcie" do rzędu „powiastek" — „powiastek młodzieżowych".

Wolno Panu mieć swoje zdanie (drukowane w „Kamenie"), wolno i mnie mieć swoje (niedrukowane w „Kamenie"). No więc. Zarzuca Pan kandydatom (czy też raczej kandydatkom — widocznie nie cierpi Pan dziewcząt) na studentów (studentki) polonistyki brak „podstawowej orientacji" i nieumiejętność „s a m o d z i e l n y c h poszukiwań".

A czy Pan wie, że kiedyś (dawno, dawno temu) Marta od „Pani Elizy" powiedziała coś takiego, że niby społeczeństwo nie ma prawa wymagać od jednostki tego, czego jej nie dało. Pan zaś żąda od tej biednej jednostki, aby po latach wbijania jej w głowę, że Sienkiewicz — nieśmiertelny, Orzeszkowa — niezastąpiona, Prus — genialny, zdobyła się na odrobinę krytycyzmu wobec najwspanialszej, najmądrzejszej trójcy? Wymaga Pan (w imieniu społeczeństwa) od tej wiecznie kującej, chorej z przepracowania jednostki, która musi (na podstawie historii literatury) wiedzieć i wierzyć niezłomnie, że:

„Bolesław Prus jest najznakomitszym pisarzem epoki. Dzięki bystrej, głębokiej obserwacji i rzetelnej pracy intelektualnej umiał on dostrzec i zrozumieć przemiany zachodzące w głębi społeczeństwa i narodu, umiał wydobyć najistotniejsze, najbardziej życiowe i doniosłe dla ówczesnego społeczeństwa problemy. Dlatego dla nas twórczość jego stała się tak wszechstronnym i bogatym dokumentem epoki..."

Aby oszczędzić Panu pozostałych „ciurków", uraczę Pana czymś „made in ja" — wyprodukowanym na surowcu historii literatury dla kl. X.

„Ocena postaci (względnie sytuacji) dokonana przez takiego-toatakiego genialnego pisarza jest słuszna i budująca". Czy wobec tego jest miejsce na samodzielne myślenie?

Wobec tego, że ktoś tam jest najgenialniejszy, a jego ocena sytuacji najprawdziwsza, po co tracić czas na czytanie mniej genialnych dzieł? Oto wniosek, jaki z powyższego wyciąga jednostka. Nic więc dziwnego, że (wciąż ta sama) jednostka przystępuje do egzaminu wstępnego z przeświadczeniem, że byle by nie pomylić dat śmierci Stendhala i urodzin Orzeszkowej wszystko będzie dobrze.

Czy jest dobrze? Na to pytanie odpowiedział Panu w szóstym (387) numerze „Kameny". Nie zaprzeczam prawdzie uznanej, że ocena sytuacji (i „panienek") dokonana przez genialnego Pana Podgórskiego jest słuszna i budująca. Tylko... Niech się Pan przypadkiem nie łudzi, że Pański artykuł zmobilizuje jednostkę do „samodzielnych poszukiwań". Jednostka odłoży ze spokojem „Kamenę" i zagłębi się w studiowanie (trzeci raz!) „Lalki". Potem zaś dowie się („jednostka"!), że „Lalka" jest szczytowym osiągnięciem Prusa a więc i literatury polskiej (a może nawet światowej?!?).

A propos oświadczenia Pana, że: „Jedyna rada wyhodować baki i w oczekiwaniu na drugą młodość skracać sobie czas „lekturą dzieł panów Henryka i Bolesława oraz pani Elizy..." — radzę „skracać sobie czas" lekturą „wstępów", „not wydawniczych" i „słów wstępnych" do dzieł „panów Henryka i Bolesława oraz pani Elizy". (Przy okazji polecam „wstęp" do „Wichury i trzciny" Krzywickiej).

Z poważaniem:

uczennica X klasy Liceum Ogólnokształcącego w Pińczowie i jednocześnie eks (na szczęście!) kandydatka na studentkę UJ (Wydział — filologia polska).

Grażyna Wilk

Przyjmuję zasadę niekomentowania tego miłego pisma. Czystej emocji bowiem nie należy zakłócać zimnym racjonalizmem. Zwracam jednak uwagę sympatycznej autorce, że tytuł utworu Krzywickiej — lektury szkolnej — brzmi „W i c h e r i t r z c i n y".

MP

PROWOKATORZY

(Debiut)

Robert Katom

KTÓREGOŚ popołudnia wpadłem na fantastyczny pomysł. Dotyczył on mego bezpieczeństwa, a raczej zabezpieczenia się, przed tymi wszystkimi, którzy spróbowaliby mnie sprowokować do bójki.

Niemal każdego dnia spotykamy prowokatorów. Jedni z nich to desperaci i zawiedzeni w swych ideach, wszyscy ci, którzy utracili wiarę w życie. Prowokują, by odnaleźć łączność, odnaleźć nadzieję, chcą być zrozumiani, ale tych najmniej się obawiam. Zbyt dobrze ich rozumiem.

Do najniebezpieczniejszych należą zadufani w sobie młodzieńcy, butni i pewni swych sił, rozwydrzeni, słabi, a jednocześnie nieugięci, gotowi mordować dla wewnętrznej potrzeby wyżycia się.

Jeśli dla zdesperowanych prowokatorów mam krztynę wyrozumiałości (broń Boże, nie mówię tu o litości, gdyż uważam, że nikt z nas na nią w pełni nie zasługuje), to co do tych ostatnich nie czuję nic, poza strachem i pogardą...

Mój pomysł zrealizowałem bez trudu. Nie wymagał najmniejszych nawet kosztów, jakie zazwyczaj trzeba ponieść przy zabezpieczaniu się przed napaścią. Pozornie wyglądał naiwnie, ale po głębszym zastanowieniu stwierdziłem z radością, że to jeden z mych najwspanialszych pomysłów. Jednym słowem, był to pomysł wręcz genialny, gdyż prościutenki. Postanowiłem zostać kaleką. W tym celu zaszyłem lewy rękaw płaszcza, tak abym w razie niebezpieczeństwa, gdyby wszystko przepadło, mógł bronić się prawą ręką. Wyobrażałem sobie, jaka to wywoła reakcję: miałem pewność, że nikt mnie nie rozszyfruje; cieszyłem się jak dziecko.

Moje przypuszczenia sprawdziły się co do joty. W tramwajach zaczęto ustępować mi miejsca, u rzeźnika dostawałem najpiękniejszy kawałek cielęciny, a przechodnie patrzyli na mnie ze współczuciem i tkliwością. Przestałem się bać. To cudowne uczucie niezagrożenia osiągnąłem wprawdzie dzięki przypadkowi, a nie wytężonej pracy nad kształtowaniem swego charakteru, wszakże i tak jest to ogromny sukces.

Wracam z miasta. Parna, bezwietrzna pogoda. Marzę o deszczu. Do szczęścia wystarczyłaby mi nawet mżawka. Duszę się, a może kołnierzyk koszuli jest za ciasny?... Obserwuję już od dłuższej chwili drzewa. One także wyglądają deszczu. Spragnione, powykręcane ku niebu; niesprawiedliwe są siły i moce nieba, jeśli celowo wstrzymują tak pożyteczne zjawisko. Być może, spadnie dopiero za godzinę, lub za miesiąc, a zwierzęta, rośliny i ludzie bezsilnie będą czekać choćby na mżawkę, jak ja?... Ktoś wołał?... Chyba nie mnie?...

— Te — człowiek!...

Więc to mnie wołają?...

— Człowiek, chodź no na chwilkę...

Odwrócę głowę na moment, albo udam, że rozsznurował mi się but...

— Na chwilkę, na chwileczkę...

Jest ich trzech. Pewnie potrzebują jakiejś informacji; chcą spytać o godzinę.. Nie boję się, przecież chroni mnie ten rękaw... Są młodzi, zbyt młodzi...

— Na momencik, człowieku, na momencik... — wołają śpiewnymi głosami.

Podchodzę do nich na palcach, nie wierząc ani jednemu ich słowu...

— To nie człowiek, to człowieczek...

Słyszę ich coraz wyraźniej... W każdym calu moich mięśni czuję strach; strzelam palcami, lecz strach nie mija; łapię w płuca jak najwięcej powietrza (zawsze to robię w niebezpiecznych sytuacjach), mimo tych zabiegów nade wszystko odczuwam lęk. Pozwalam im na prowokowanie wzrokiem, gapią się bezczelnie, tak ironicznie, jak by moja postać stanowiła rozkosznie śmieszny widok. I wiem, że tak jest w rzeczywistości. Jestem śmiesznym, nikomu niepotrzebnym romantykiem, ostatnim prawdziwym romantykiem na tym globie. W dodatku ten zaszyty rękaw... — śmiać mi się chce teraz z mego pomysłu. A gdybym musiał zdjąć płaszcz?... Zauważyli go z pewnością i w duszy pękają ze śmiechu, gdyż na zewnątrz są okazale poważni, a nawet jest w nich coś z dostojeństwa. Wiedzą o mnie wszystko; nie umknę im...

— Zbliż się... Czy wyglądamy na takich, za jakich nas bierzesz?... — Zbliż się...

— Ja... jestem do usług panów, nawet jeżeli byście...

— Nawet jeśli co?...

— Nawet gdybyście chcieli mnie zabić...

— Patrzcie, jaki on staroświecki...

— Tylko zanim zabierzecie się do mnie, chciałbym powiedzieć, że nie lękam i nie boję się was...

— On jest hardy... — (mówi pierwszy) — i podstępny... — (dodaje drugi), i niebezpieczny dla otoczenia... (dorzuca trzeci).

Przerywam im:

— Chciałbym też o coś was zapytać.

— Chcesz pytać?... Słyszycie, on chce pytać!

— Chciałem spytać każdego z was o to samo. Wiem, że jesteście prowokatorami...

— Prowokatorami?... słyszycie? ... prowokatorami!

— Takich jak wy spotkałem już wielu — dodaję.

— No i co z tego?...

— Czy mogę kontynuować?...

— Mów, mów...

— Czy gdybyś był w tej chwili sam — mówię do jednego z nich — bez swoich ludzi, sam, samiuteńki, to czy zawołałbyś na mnie — „Te człowiek"?

— Zadajesz niemądre pytania — odpowiada.

— Dla was to głupie pytanie, natomiast dla mnie jest jasne, że w pojedynkę żaden z was nie odważyłby się mnie prowokować.

— Bredzisz, człowieczku. Poza tym to ty nas prowokujesz, a nie my — prawda? Sam widzisz, że nie obrażamy się, nie zadajemy ci głupich pytań, chcieliśmy z tobą pogawędzić po przyjacielsku, a ty nas atakujesz! Fe! nieładnie... jak ci człowieczku nie wstyd?

— Nie jestem prowokatorem, to kłamstwo — mówię. — Możecie zrobić ze mną, co wam się podoba, ale to wy powinniście się wstydzić, gdy macie do czynienia z kaleką.

Teraz zażądają, abym zdjął płaszcz.

— Ty... ty masz być tym kaleką?

— Nie widzicie, że mam chorą rękę?

— Rzeczywiście...

— Jest zwichnięta, wybita, w ogóle nie nadająca się do...

— Do czego? Do obrony?

— Sam jestem słaby i nie chcę mieć nic z tym wspólnego.

— Z czym?

— Och nie męczcie mnie tak... czy nie rozumiecie, czy nie widzicie, że nie mogę stawić wam czoła?

— Jesteś niepoprawny, człowieczku.

— Czy mogę już odejść?

— Zostań!

— Więc jednak chcecie, żebym został, jestem waszą zabawką, kolejną ofiarą... nie macie prawa mnie zatrzymywać!

— Dość tego gadania. Nudzisz nas i poniesiesz za to karę! Nie lepiej ci było siedzieć w domu? Czym się zajmujesz, człowieczku? Powiedz, ładne masz mieszkanko?

— Ja... ja...

— Mów!

— Mam pokoik... tu, w tym domu. Mam pianino, gramofon, no cóż... mam także odkurzacz elektryczny.

— Dziwak z ciebie, co?

— Tak, ale to odkurzacz starego typu, odkurzam nim książki.

— I co masz jeszcze?

— Mam kaflowy piec... i... i... mam radio...

— Radio masz? Widzicie, on ma radio. A na drutach robisz?

Muszę natychmiast stąd odejść. Ale jak, jak to zrobić?...

— Obserwujemy cię od dawna, człowieczku, co ty na to?

— Interesujecie się mną?

— Wiemy, że nie wchodzisz główną bramą, widzieliśmy cię kilkakrotnie w pobliżu torów kolejowych.

— Torów kolejowych? — pytam.

— Nie chcieliśmy ci przeszkadzać, stałeś taki nieruchomy, zasłuchany.

— Lubię podsłuchiwać świerszcze wśród ciszy wieczornej...

— A więc to dla świerszczy tak chodziłeś?

— Nie, nie tylko... W tym krajobrazie, złożonym z gliniastopiaszczystych pól, niby wydm nadmorskich — w łagodnych cieniach, utworzonych przez semafory, w migocących światłach, krzakach jałowca — jest coś, co przyciąga, nieledwie hipnotyzuje. Kiedy stoję wieczorem wśród pól, to tak, jak by cała moja krew spływała z góry na dół; ogarnięty falą spokoju, wsłuchany w szmer owadów — odpoczywam.

— „Wsłuchany w szmer owadów"... Dziwak z ciebie.

— Jest w tym wszystkim coś egzotycznego.

— „Egzotycznego", mówisz?

— Co dwadzieścia minut przejeżdża pociąg. Widać tylko wąż oświetlonych okien; skaczą, drgają w ciemnościach, zupełnie jak świetliki — dodaję.

— Co takiego?

— Świetliki, takie małe żyjątka. Są nafosforyzowane i dlatego świecą.

Tracę orientację; stają się coraz bardziej zagadkowi, są cwani. Czknąłem dwa razy, ale nie zwrócili na to uwagi. Kto wie, jak długo będę zmuszony prowadzić tę rozmowę. Zapaść się, zniknąć, umknąć im. — Nie, to niepodobieństwo...

— Masz jakieś złe myśli, człowieczku?

— Zamyśliłem się na chwilę — powiadam.

— „Wsłuchany w szmer owadów"?

— ...

— Masz złudzenia, człowieczku — mówi jeden.

— On ma złudzenia — dodaje drugi.

— Tak... złudzenia — przytakuje trzeci.

— Co do świerszczy? — pytam, aby coś mówić.

— Nie... co do świetlików.

Pierwszy cios spada niczym myśl. Jest celny i tak silny, że głowa mi odskakuje jak piłeczka na gumie. Rozczapierzam instynktownie palce, tak, że tworzą coś na kształt kraty.

Prowokatorzy podchodzą kolejno. Mają długie, ostro zakończone paznokcie. Ja zawsze je obcinam, gdy są zbyt długie; spontaniczność ich żylasto suchych pięści zwiększa się w miarę, jak opadam z sił. Paznokcie zdzierają mi naskórek. Ale w ferworze walki prawie nic nie czuję. Właściwie nie walczę, stoję przyparty do muru ich muskularnymi ramionami i zasłaniam przede wszystkim głowę. I tak najwięcej ciosów spada właśnie na nią. Czasem wydobywam z siebie coś na podobieństwo głosu — pisk i charczenie.

Na ich zaciekłych, pozbawionych masek obliczach pojawia się zmęczenie i biała pęcherzykowata piana. Udaje mi się splunąć na nich; wykonuję tę czynność z przyjemnością i jednocześnie z obrzydzeniem. Zaraz potem doznaję ulgi. Zrywają mi z ramion płaszcz. Widzę odpruty rękaw. Powiewa na wietrze wraz z wyprutymi nićmi. Są jak babie lato — myślę — i powoli osuwam się na ziemię.

KOLA

Zbigniew Strzałkowski

a teraz klęczał wśród nich i wyglądał na przerażone zwierzę które przeczuwa co je może spotkać chociaż nikt mu jeszcze nie kazał klękać ani w ogóle nic robić póki nie weszli do ostatniego pokoju na pierwszym piętrze i Walczak zaraz podszedł do otwartego okna aby je zmknąć a Jasiu Florczak puścił Kolę dopiero teraz od czasu kiedy go wytropił pod wózkiem w sąsiedniej wiosce niedaleko Koźla i stamtąd przyprowadził Kolę na pasku od spodni uwiązawszy jeden koniec wokół szyi Koli przywiódł go w to popołudnie sobotnie akurat przed meczem ale sprawa Koli była ciekawsza więc mecz rozpoczął się bez nich i dlatego mogli nie śpiesząc się i bez świadków odbyć naradę w ostatnim pokoju zakładu skąd Kola nie mógł im zwiać jak ostatnim razem ale mimo to na wszelki wypadek Florczak powiedział że stanie na czatach na korytarzu i teraz wsunął swój żubrzy łeb by powiedzieć że wszystko o key i ten dureń Kola to zrozumiał po swojemu — padł na kolana chłopaki zaczął wołać chłopaki jak Boga kocham już nigdy nie będę uciekał to dobrze że Walczak zamknął okno więc ci z dołu nie mogli usłyszeć tego krzyku ani trzasku w gębę dobrego uderzenia Mierzyńskiego aż się źle zrobiło Lisieckiemu i Naglowi nawet ale tak należało się skurczybykowi i od tego zaczął się wstęp niech teraz gówniarz mówi i to szybko niech mówi komu sprzedał nowe buty w tamtym tygodniu kupione przez wychowawczynię Osipowicz ale w tym momencie otwarły się drzwi i wszedł kierownik zakładu — co tu się dzieje spytał wtedy Mierzyński jako przewodniczący rady wychowanków wyjaśnił krótko w czym rzecz i jeszcze coś dodał ale już nachyliwszy się do ucha kierownika na co ten lekko kiwnął głową i szybko wyszedł na korytarz a za nim Nagiel do Florczaka że miał do cholery pilnować tak tak oczywiście tyle że podszedł do okna posłuchać co to za krzyki dochodzą z parku i wtedy to Kola zaczął wrzeszczeć że już nigdy nie będzie uciekał i pewnie to usłyszał kierownik idący po schodach bo nagle znalazł się tak blisko ostatniego pokoju że on nie był w stanie ich uprzedzić najlepiej wziąć Kolę do drugiego pokoju mniejszego skąd nie będzie słychać krzyku i na to się zgodzono a teraz Lisiecki pytał Kolę dlaczego łazi po sklepach w miasteczku i wyłudza od ekspedientek pieniądze twierdząc że jest sierotą i od rana jeszcze nic nie jadł co jest wierutnym kłamstwem ty ty jełopie żresz jak wieprzek sam ci na obiad dokładałem drugą porcję kartofli

teraz wtrącił się Zabawka milczący do tej pory i zaproponował że nie ma co się patyczkować z tym gówniarzem trzeba mu dać nauczkę ale taką żeby popamiętał ruski miesiąc wtedy na pewno nie przehandluje już więcej ani butów ani książek za torebkę cukierków ani nie będzie uciekał z zakładu no bo skoro ucieka to gdzieś musi spać i coś jeść a przecież nie ma pieniędzy więc musi kraść

wszedł Florczak który cały czas podsłuchiwał i potwierdził bo cały czas Kolę śledził leżąc w wysokiej trawie dokąd idzie a skoro tylko Kola zniknął za wózkami on wślizgnął się do nory i patrzcie co znalazł bagnet poniemiecki forsę blisko sto złotych butelkę wina szczęście że w porę wycofał się nim tamci dwaj nadeszli wczołgali się pod wózek ale kto to był ten drugi nie wie ale Kola na pewno go zna i zaraz im powie i to szybko chyba że chce aby mu Walczak wyprostował szczękę a w ogóle to kto ci Kola tak wykrzywił gębę wiatr milicja czy jakiś chłop

oczywiste było że łże i to jeszcze jak łże ach ty synu rybi to tak to tak ot zdaje ci się że oszukasz nas że nie znasz tego drugiego oprycha z którym razem przez tydzień wałkoniłeś się pod wózkami nad kanałem ty pało zakuta no więc dobrze dobrze i tak zrobimy i tak jak na ucho Mierzyńskiemu podpowiada Zabawka ale nie tak jak chce tego Florczak to potem potem Jasiu możesz z nimi robić co zechcesz tylko bez głupich kawałów ale na razie oni reprezentują samorząd zakładu i muszą Kolę ukarać — przecież ty Kola podrywasz nam opinię od jakiegoś czasu ludzie gadają że w zakładzie sieroty morzą głodem to tak to tak więc czemu nie uciekłeś do matki w góry pić mleko kozie zasrańcu boży bo tu ci jest dobrze masz czyste łóżko jeść dadzą ubiorą ale każą chodzić do szkoły a ty wolałeś sprzedać książki o te książki może to nie te są co butów nie udało się odzyskać ale książki są i tylko dlatego że matka tego chłopca z trzeciej klasy sama je przyniosła do zakładu i powiedziała że sprzedałeś je za dwadzieścia złotych

oczywiste było że dalsze gadanie Lisieckiego jak i Mierzyńskiego nie na wiele się zda skoro Kola opuścił głowę i uparcie wpatrywał się w swoje bose nogi brudne gdzie między dużym palcem a wskazującym zaschło krowie łajno i teraz je nieznacznie wydłubywał palcem drugiej nogi co nie mogło ujść ich uwadze i dlatego Walczak zadecydował dobra nie ma co czekać i podszedł do najbliższej szafeczki nocnej i tak podchodził do wszystkich aż wybrał najcięższą i postawiwszy przed Kolą kazał mu podnieść pięćdziesiąt razy ale nie tak no no tylko bez oszukiwania Kola tak wysoko unoś do podbródka no więc raz dwa trzy cztery pięć

Zabawka nachylił się do Lisieckiego i powiedział że nie wierzy aby Kola nie uciekał więcej z zakładu i jest gotów założyć się z nim że jeszcze dzisiejszej nocy Kola zwieje ale już nie będzie taki głupi i nie schowa się pod wózkami o nie taki frajer to Kola nie jest i Jasio Florczak będzie miał niełatwe zadanie w jego wytropieniu na co Walczak pilnujący aby Kola równo i wysoko podnosił szafeczkę dodał że nie może zrozumieć co Kola robi w zakładzie skoro ma rodziców to powinni go sami wychować

już przy czterdziestu sześciu Kola opuścił szafeczkę która z hukiem spadła na podłogę a sam Kola czerwony z wysiłku nagle oddał mocz i ciekło mu po nogach a stąd na podłogę rozlewając się szeroką kałużą co wzbudziło w nich śmiech

nie można było tych czterdziestu sześciu podnoszeń szafeczki nocnej uznać za wymierzoną karę bo miało tego być pięćdziesiąt wobec czego trzeba było zacząć znów liczyć od początku co było zbyt nudne dla Zabawki i Lisieckiego toteż wyszli zapalić papierosy a kiedy zajrzeli Kola kończył pompki jęcząc że chyba zaraz umrze że już nie ma sił i lepiej niech go już tutaj zabiją albo pan Walczak albo pan Nagiel jemu jest wszystko jedno — siadł w kucki i tępym spojrzeniem uwiesił się okna za którym łagodnie kołysały się listki olchy i już było wiadome że nie na wiele się zda robienie „czołgów" na jego głowie i pstrykanie w ucho

z kłopotu wybawił ich dzwonek na kolację i zaraz weszli Mierzyński i Zabawka i Lisiecki nakazując Koli położyć się na łóżko a przedtem jeszcze zdjąć spodnie aby mu wymierzyć dwadzieścia pasów od każdego po cztery i dopiero wtedy zeszli wszyscy na dół gdzie Lisiecki zdał krótko sprawę kierownikowi zakładu że odbyła się rozmowa z Kolą owszem coś tam dostał w ucho

po kolacji kiedy do apelu wieczornego jest sporo czasu i można go wykorzystać na własny użytek Jasiu Florczak zaciągnął Kolę do łazienki kazał do wiadra nabrać wody i z tym ekwipunkiem poszli do ubikacji i ot i ot Kola wyszorujesz cały ten przybytek na glanz w try miga no już no co się gapisz raz raz bierz się do roboty a to niedługo będzie apel wieczorny tak tak Kola he he myślałeś że ja ciebie nie znajdę co przyznaj się tak sobie myślałeś alem ja nie kiep i wiem jakimi ścieżkami chodzisz no no a ten gawniak to kto sprzątnie to nie żeś ty nie nasrał piorunem raz raz i za muszlą też no tak zachciało się tobie wolności pohulać z jakimś kryminalistą o bracie za dobrze by tak było już ja ci to z głowy wybiję skończyłeś dobra teraz drugi wyszorujesz co tylko bez mruczenia ani mru mru wszystkie rozumiesz wszystkie wyszorujesz więc się śpiesz jeśli chcesz w nocy trochę pospać i bez wygłupów nie rzygaj a to ci twój świński łeb wsadzę w to gówno a teraz do roboty raz raz

rano Jasio Florczak przybiegł do pokoju Walczaka i wyprosił go na korytarz i już razem poszli do pokoju Nagla bo to było im po drodze i Walczak Naglowi powiedział aby szedł z nimi ale on nie chciał dopiero kiedy Walczak rzekł że to bardzo ważna sprawa i on Nagiel może się przydać zgodził się i już we trzech weszli na piętro do pokoju Mierzyńskiego w którym spał także Lisiecki i Walczak powtórzył to co usłyszał od Jasia Florczaka o teraz o dosłownie kilka minut temu więc co robić cholera wie trzeba pójść najpierw zobaczyć

wyszli na korytarz i schodami zeszli na dół a stąd na ulicę i obeszli budynek bo tak trzeba było zrobić chcąc wejść na podwórze oblane teraz słońcem godziny ósmej minęli budynek przeznaczony na drwalnię i magazyny aż stanęli przed małymi drzwiami i widać było po nich że się wahają je otworzyć ale to trwało drobniutką chwilę bo już Lisiecki nacisnął klamkę i otworzył drzwi na oścież ale trzeba było wejść do wnętrza aby po przyzwyczajeniu się do lekkiego zmierzchu ujrzeć wisielca którego łatwo poznali po bosych nogach teraz przerażająco wydłużonych i tak samo brudnych jak wczoraj tylko ręce luźno zwisały obojętnie wzdłuż ciała widoczne od wewnątrz gdyż Kola wisiał do nich plecami i nic tu już nie mogli zrobić tyle że wyjść aby naradzić się co teraz zrobić i zapytać Jasia Florczaka czy czasem on nie przyłożył do tego swej ręki ale gdzie tam jak Boga kocham że nie ot zaprowadził tu Kolę i zamknął go na noc bo gdyby spał w pokoju zwiałby jak nic prawda więc zamknął go w tej komórce a kiedy rano przyszedł wypuścić tego skurczybyka zauważył szkło potłuczone pod drzwiami widocznie Kola próbował zwiać przez okienko nad drzwiami wziął i wybił szybę ale nie mógł przecisnąć się i co było potem cholera wie on otworzył drzwi i zawołał Kola Kola wyłaź słyszysz ty skurczybyku ale kiedy Kola nie wychodził ani się nie odzywał stanął na progu i musiał chwilę odczekać aż oczy przyzwyczają się do szarości i wtedy niech to szlag trafi zobaczył przewrócone skrzynki i wiszącego Kolę i zaraz pobiegł do Walczaka i mu powiedział że Kola powiesił się sam się powiesił w komórce w nocy na sznurku bo pasek mu wczoraj Zabawka zabrał toteż spodnie podwiązał sznurkiem a teraz na tym sznurku powiesił się czy to nie jełop i co i co teraz począć chyba to że wezwać kierownika zakładu i nic tu absolutnie nic nie ruszać żeby nie było żadnych odcisków śladów bo przecież Kola sam się powiesił no nie a ty Jasiu najlepiej nie przyznawaj się żeś go zamknął tutaj na noc no idziemy bo zaraz będzie dzwonek na apel.

Kamena str. 9

Ośrodki pożytecznej roboty

OSIEM lat temu na Lubelszczyźnie działało 50 przyszkolnych ośrodków pracy kulturalno-oświatowej, obecnie jest ich 1503! Nie należy przy tym podejrzewać, że ten imponujący rozrost jest wynikiem statystycznych ambicji władz oświatowych. To życie samo zadecydowało, że niemal każda większa szkoła województwa prowadzi dziś pracę kulturalno-oświatową. W Polsce nazywają Lubelszczyznę „kopalnią inicjatyw" i jest w tym określeniu wiele prawdy, ale równocześnie nie każdy potrafi odnaleźć przyczyny tych tak wielu cennych społecznie zamierzeń. W tym właśnie województwie istnieje ogromne zapotrzebowanie na codzienny kontakt z kulturą, polityką, z myślą ludzką, ten obszar kraju szczególnie intensywnie i, powiedziałbym, dramatycznie odrabia przedwojenne zaniedbania w tym zakresie. Dlatego nie zdarzyło się bodaj jeszcze, aby jakaś inicjatywa kulturalna spotkała się na Lubelszczyźnie ze społeczną obojętnością. Kilka lat istnienia potwierdziło, że szkolne ośrodki pracy kulturalno-oświatowej także okazały się słusznym posunięciem organizacyjnym, swoistą odpowiedzią na społeczne zamówienie. Pełnią one rolę źródła wszechstronnej informacji, co przy stosunkowo słabym rozpowszechnieniu na wsi lubelskiej masowych środków przekazu, nadaje im znaczenie zupełnie wyjątkowe. Warto więc bliżej spojrzeć na ich działalność, niezwykle, jak się okaże, rozległą i wszechstronną.

Oddaję czytelnikom raczej leksykon faktów i nazwisk, niż artykuł problemowy. Do takiego ujęcia skłania mnie zjawisko częściowej co najmniej anonimowości szeregowych działaczy kultury — ludzi godnych przecież szczególnej uwagi, bez których najbardziej słuszna inicjatywa nigdy nie doczekałaby się realizacji.

Po ośmiu latach doświadczeń mających na celu „wypracowanie" modelu ośrodków, zdaje się nie ulegać wątpliwości, że przyjęta zasada wielokierunkowej działalności placówek jest całkowicie racjonalna, możliwa do realizacji, a determinują ją tylko potrzeby konkretnego środowiska. Oto przykłady, których dostarczyła majowa konferencja wojewódzka zorganizowana przez Kuratorium Okręgu Szkolnego:

W powiecie krasnostawskim niektóre ośrodki, dysponujące lepszymi warunkami lokalowymi, prowadzą działalność towarzysko-rozrywkową, organizując m.in. wieczorki taneczne przy kawie. Ta forma szczególnie odpowiada młodzieży, która bierze aktywny udział w przygotowywaniu tego rodzaju spotkań. Wiele ciekawych form pracy realizowano w przyszkolnym ośrodku w Liceum Ogólnokształcącym w Rybczewicach. W październiku ub.r. zorganizowano tam szereg imprez sportowych, w listopadzie i grudniu odbył się spektakl Teatru Lalki i Aktora z Lublina, a w marcu br. obchodzono „Święto Piosenki Żołnierskiej".

Placówka przy lubelskiej Szkole Podstawowej nr 2 spełnia rolę dzielnicowego ośrodka kultury dla dzieci i młodzieży. Jej działalność zmierza do organizowania czasu wolnego. Stałą opiekę nad ośrodkiem sprawuje kierownik szkoły przy współudziale nauczyciela wychowania fizycznego, Wiesława Krysy.

W powiecie hrubieszowskim ośrodek przyszkolny w Mienianach zorganizował Klub Przyjaciół Teatru, którego członkowie poza oglądaniem odpowiednich programów telewizyjnych udzielają się we własnym zespole teatralnym, kukiełkowym, dają przedstawienia w wielu miejscowościach powiatu. Inicjatorem tych prac jest kierownik szkoły, Henryk Litewczuk.

Głównym założeniem przyszkolnego ośrodka pracy kulturalno-oświatowej w Woli Sernickiej w powiecie lubartowskim jest zainteresowanie środowiska wiejskiego aktualnymi zagadnieniami politycznymi, społecznymi i kulturalnymi, pogłębienie wiedzy z zakresu rolnictwa, hodowli, oświaty sanitarnej rozwijanie zainteresowań artystycznych. Działa tam systematycznie uniwersytet powszechny, corocznie wystawia się szopki satyryczne na temat miejscowych stosunków. Za sukcesy w konkursie „Zmieniamy oblicze wsi lubelskiej" szkoła otrzymała 200 tysięcy złotych nagrody. Ośrodek prowadzi kierownik szkoły, Wiesław Pożdzik, przy wydatnej pomocy grona nauczycielskiego, rady społecznej, przy ścisłej współpracy z miejscowymi organizacjami politycznymi i społecznymi.

Przyszkolne ośrodki pracy kulturalno-oświatowej w poważnym stopniu przyczyniają się do aktywizacji środowisk wiejskich, co uwidacznia się między innymi w podejmowaniu czynów społecznych przez mieszkańców. Np. w Radzięcinie w powiecie biłgorajskim ludność pomogła przy wyrobie 70 tysięcy sztuk cegły i wydobyciu kamienia pod budowę przyszłej szkoły. (Kierownikiem ośrodka jest Helena Kałucka). W Teodorówce Frampolskiej społeczeństwo dzięki inicjatywie szkoły, której kierowniczką jest Anieja Buczek, pracowało przy budowie gmachu szkolnego i zakładaniu wodociągów. W Majdanie Nepryskim mieszkańcy położyli we wsi chodniki, zbudowali remizę i przewieźli około 50 m sześć. kamienia pod budowę szkoły. W Ciosmach, gdzie kierownikiem ośrodka jest Tadeusz Bździuch, ludzie zwieźli piach pod budowę szosy oraz wykonali prace niefachowe przy elektryfikacji wsi.

Dzięki systematycznej i planowej pracy przyszkolnych ośrodków kulturalno-oświatowych rozbudza się wśród wiejskich i małomiasteczkowych społeczności potrzebę korzystania z książek, gazet, audycji radiowych i telewizyjnych. Przykładem niech będzie ośrodek w Pawlinie w pow. bełżyckim, gdzie kierowniczka ośrodka, Kunegunda Godula, organizuje „zgaduj-zgadule" na przeróżne tematy. Przy ośrodku działają także zespoły: recytatorski, teatralny, muzyczny oraz prowadzone jest szkolenie rolnicze. W Kolonii Warszawskiej znajduje się tylko jeden telewizor — w szkole — co jednak nie przeszkadza kierowniczce ośrodka, Henryce Rycerz, organizować dyskusji na temat Teatru Telewizji, Dziennika Telewizyjnego, Monitora, Światowida.

W powiecie tomaszowskim ośrodki przyszkolne zwróciły uwagę na popularyzację treści książek związanych z 25 rocznicą powstania PPR, ze szczególnym podkreśleniem roli partii w tworzeniu i umacnianiu władzy ludowej, z genezą, rozwojem i międzynarodowym znaczeniem Rewolucji Październikowej, przy akcentowaniu jej wpływu na dzieje państwa polskiego.

Coraz częściej przystępują do pracy w ośrodkach inne instytucje i organizacje społeczne, działające w danym środowisku: ZMW, biblioteki, kluby „Ruch" i „Rolnika", domy kultury (te ostatnie udzielają pomocy instruktażowej działaczom ośrodków).

W przyszkolnych ośrodkach kulturalno-oświatowych województwa lubelskiego pracują przede wszystkim nauczyciele (6 115 osób). Inteligencja z innych grup zawodowych nie wszędzie i nie zawsze jest obecna w tych placówkach. Istnieją jednak placówki, gdzie o skuteczne działanie wychowawczo-ideowe troszczy się nie tylko kierownik, ale całe grono nauczycielskie, członkowie rady społecznej, miejscowy lekarz, agronom, pracownicy różnych zakładów pracy. Tak jest np. w Michowie, Samoklęskach, Woli Sernickiej, Dratowie, Michałówkach, Miastkówku, Zezulinie. W powiecie lubelskim w akcji odczytowej biorą udział liczni lekarze wiejskich ośrodków zdrowia, a w powiecie puławskim działalność oświatowa opiera się m.in. na pracy 29 inżynierów i techników różnych specjalności, 12 pracowników naukowych IUNG i UMCS, 15 agronomów i kierowników stacji doświadczalnych — nie licząc oczywiście setek nauczycieli.

W radzyńskim przy wszystkich ośrodkach istnieją rady społeczne, w których skład wchodzą przedstawiciele organizacji politycznych, społecznych, zakładów pracy, inteligencji, młodzieży pozaszkolnej. W powiecie zamojskim do pracy pozyskano m.in. 48 agronomów, 39 lekarzy medycyny, 34 lekarzy weterynarii, 38 pracowników rad narodowych, poza pokaźną liczbą 405 nauczycieli. Nauczyciel nie jest więc osamotniony, nierzadko spełnia on tylko rolę, ważną zresztą, koordynatora działalności kulturalno-oświatowej w środowisku, co nie jest sprawą prosta, jeśli weźmie się pod uwagę, że aktywiści społeczni posiadają pewne braki w zasobie umiejętności przydatnych do wykonywania tego typu pracy i nie zawsze można oczekiwać od nich systematycznej działalności.

IJK

PS. 232 wyróżniających się działaczy szkolnych ośrodków kulturalno-oświatowych otrzymało w maju nagrody pieniężne, a 197 dyplomy uznania. Dyplomy przyznano także trzem zespołom artystycznym, istniejącym przy ośrodkach: w Łubczach (wokalno-instrumentalny), Michowie (teatralny), Lublinie (Międzyszkolny Zespół Pieśni i Tańca „Ziemi Lubelskiej").

Ludzie wolni są braćmi!

(Dokończenie ze str. 5)

Suski). Okazało się jednak, że projektu nie uzgodniono z księciem. Pozostawiono dotychczasowy stan rzeczy, który spowodował długotrwałą niechęć między obydwoma dywizjonerami.

Rannego ponownie w tę samą nogę podczas walnej bitwy pod Frydlandem (14 czerwca 1807 r.) Napoleon wynagrodził donacją Winnogóry w Poznańskiem, a Poniatowski przedstawił do komandorii Krzyża Wojskowego. Jednak układ tylżycki, pozostawiający Galicję i zabór rosyjski poza granicami Księstwa Warszawskiego, mianowanie Poniatowskiego ministrem wojny, przeniesienie większości pułków dywizji poznańskiej do Gdańska i Torunia, budziły niezadowolenie Dąbrowskiego. Wszakże nie ma dowodów na to, aby uczestniczył w domniemanym sprzysiężeniu antyfrancuskim.

Poślubiwszy w listopadzie 1807 Barbarę Chłapowską, zajął się głównie gospodarką w Winnogórze. Stąd wyrwany werwaniem Poniatowskiego w związku z wkroczeniem Austriaków do Księstwa Warszawskiego, przybył do stolicy 19 kwietnia 1809 r., gdy dogasał bój pod Raszynem. Na radzie wojennej poparł plan naczelnego wodza wkroczenia do Galicji. Pierwszy przekroczył granicę pod Radzyminem. Otrzymawszy dowództwo terenów na lewym brzegu Wisły z siedzibą w Poznaniu, w połowie maja zebrał tam około dwóch tysięcy ludzi, drugie tyle wystawił departament kaliski. Gdy 29 maja korpus austriacki rozpoczął odwrót z Inowrocławia na Łęczycę, Dąbrowski na czele przeważnie ochotniczych formacji w sile 3 000 piechoty i 1400 jazdy stał na linii Bzury w rejonie Kutna. Stąd pchnął jazdę gen. Kosińskiego na Warszawę. Opuszczoną przez wroga bez boju stolicę zajął 2 czerwca dowodzący na prawym brzegu Wisły gen. Zajączek. Na wieść o mianowaniu Kosińskiego gubernatorem stolicy, Zajączek odmówił współdziałania z dywizją Dąbrowskiego. W rezultacie poniósł klęskę pod Jedlińskiem (11 czerwca). Na rozkaz naczelnego wodza Dąbrowski miał osłaniać stolicę i granice Ks. Warszawskiego aż do chwili połączenia się z głównymi siłami Poniatowskiego, do czego doszło z początkiem lipca w Radomiu. Na krakowskiej trasie pościgowej Dąbrowski prowadził jedną z grup odwodowych. Wyrazem poprawy stosunków z Poniatowskim było korzystniejsze przenumerowanie pułków II dywizji poznańskiej, dawniejszej trzeciej, oraz powierzenie Dąbrowskiemu odbycia w zastępstwie naczelnego wodza uroczystego wjazdu do Warszawy (18 grudnia 1809 r.)

Chociaż wskutek odnawiających się ran i trudów wojennych generał przedwcześnie się postarzał, ceniono go jako doświadczonego dowódcę. Dlatego w czasie wojny 1812 r. powierzono mu obronę Berezyny, osłonę magazynów wojskowych w Mińsku i blokadę twierdzy Bobrujska. Z chwilą, gdy nadciągnęła z Mołdawii armia Cziczagowa, okazało się, że różnorakie zadania przerastały siły polskiej dywizji. Forsownymi marszami przerzucając się na zagrożone miejsca, Dąbrowski nie zdołał obronić przeprawy przez Berezynę w boju pod Borysowem (21 listopada). W walnej bitwie o przeprawę wielkiej armii pod Stachowem, 26 listopada, przy dziesięciostopniowym mrozie dowodził polskim korpusem. Gdy na czele swej dywizji rozpoczynał natarcie, trafiony kulą karabinową w prawą rękę musiał zdać komendę. Cierpiącego na duży upływ krwi energiczna żona wywiozła z terenu wojny do Warszawy, gdzie lekarz Czekierski uratował mu rękę.

Z początkiem lutego 1813 r. generał mimo nie zagojonej rany zaczął w Poznaniu formować dywizję. Stąd — wobec zbliżania się nieprzyjaciela wyjechał z żoną do Saksonii. Po miesiącu objął dowództwo nad przybyłymi do Lipska polskimi formacjami w sile dywizji. „Polski korpus obserwacyjny" czuwał zrazu nad bezpieczeństwem zaplecza przyfrontowego, z kolei osłaniał linię komunikacyjną nad Łabą od Wittenbergi po Torgau. Szedł w czołówce trzeciej ofensywy na Berlin, lecz został zawrócony do Lipska. Zbliżono się doń 17 października, gdy „bitwa narodów" była w toku. Broniąc wsi Wideritzsch, Dąbrowski utracił połowę stanu liczebnego dywizji. Nazajutrz osłaniał Pfaffendorf, wreszcie jedyną linię odwrotu obok Bramy Hallskiej. O świcie 19 października, zgodnie z rozkazem wyprowadził zredukowane do siły batalionu niedobitki na drogę odwrotu. W marszu dowiedział się o zgonie księcia Józefa, o mianowaniu dowódcą polskim brygadiera ks. Sułkowskiego. Przed Hanau podjechał do Dąbrowskiego Napoleon z zapytaniem, czy Polacy będą mu towarzyszyć do Francji (gdyż Sułkowski zastrzegł się, że tylko do Renu). Generał odpowiedział, że mimo poważnego ubytku kawalerii, żołnierz polski, jako jedyna wówczas reprezentacja Polski, postąpi zgodnie z honorem. Nazajutrz otrzymał nominację na dowódcę VIII korpusu, liczącego ledwie dwa i pół tysiąca ocalonych z lipskiego pogromu. W bitwie pod Hanau Polacy stali w drugiej linii.

Podczas kampanii francuskiej 1814 r. oddziały polskie przydzielono do różnych korpusów. Faktycznie pozbawiony dowództwa, generał odwiózł żonę do Paryża, skąd dla uniknięcia niewoli wyjechał z Polakami 30 marca w dniu kapitulacji stolicy. Po abdykacji Napoleona na naradzie starszyzny wojskowej w Le Mans postanowiono, aby Dąbrowski jako dowódca polskiego korpusu wystosował list pożegnalny do Napoleona oraz pismo oddające armię Ks. Warszawskiego pod opiekę cara Aleksandra. Ten zaś polecił Dąbrowskiemu zebrać polskie jednostki i przystąpić do reorganizacji wojska polskiego w ramach Komitetu Wojskowego powołanego pod przewodnictwem w. ks. Konstantego.

Pożegnawszy przyjaźnie doń usposobionego Kościuszkę w Berville, Dąbrowski 15 maja wyjechał z rodziną z Paryża. W Lipsku polecił zabalsamować zwłoki księcia Józefa przed ich odprowadzeniem do kraju. Z początkiem czerwca rozpoczął w Warszawie prace nad organizacją wojska. W miarę wzrostu ingerencji w. ks. Konstantego malała rola Dąbrowskiego. Po ogłoszeniu Królestwa Polskiego (1 grudnia 1815 r.), wyróżniony tytułem senatora-wojewody, odznaczony orderem Orła Białego, mianowany generałem jazdy, Dąbrowski nie widział możności dalszej współpracy z samowolnym wielkim księciem Konstantym. Uzyskał bezterminowy urlop z prawem pobytu w objętej zaborem pruskim Winnogórze. Tam zmarł 6 czerwca 1818 r. Sarkofag wodza legionów długo stanowił cel pielgrzymek narodowych.

Na pytanie, dlaczego Dąbrowski zajmował poczesne miejsce na przełomie dwu minionych stuleci wystarczy przypomnieć, że przedłużył on dzieje narodu tworząc legiony polskie we Włoszech z myślą odzyskania wolności, czy też wzywając naród w 1806 r. do walki z zaborcą. Dzięki własnej zasłudze i talentom osiągnął, za wzorem Czarnieckiego, (który „nie z soli, ani z roli, tylko z tego co boli") najwyższe godności wojskowe zastrzeżone dla arystokratów.

W trójcy wodzów polskich cechowała go odwaga podejmowania trudnych odpowiedzialności politycznych, żelazna odporność charakteru na przeciwności losu, nieugięta wytrwałość celowego działania, wreszcie niezwykłe zdolności organizacyjne. Wybitny dowódca i rozważny polityk, przede wszystkim pragnął przysłużyć się ojczyźnie. Jego decyzje w ostatecznym rozrachunku, z perspektywy czasu, okazały się pożyteczne dla narodu.

Juliusz Willaume

Między startem a metą

(Dokończenie ze str. 1)

Może zresztą WKKFiT mylił się? Była doskonała okazja do naprawdę rzeczowej, analitycznej dyskusji. Dlaczego tej okazji nie wykorzystano? Dlaczego, gdy już pisze się o złych wynikach, uwagę autorów zajmują tylko problemy treningu technicznego? W „Kamenie" ukazał się w ub. roku artykuł J. Dostatniego „Mistrz pięści i pięść mistrza". Wiadomo było, o kogo chodzi. Wyjątki z tego artykułu przedrukowano w różnych pismach, nie wyłączając „Przeglądu Sportowego" — nie dostrzegły tylko problemu gazety lubelskie. I dziś nie widzą one, że mistrz ani myśli się zmieniać, że w dalszym ciągu lekceważy klub i władze sportowe, że nadal działa na własną szkodę. Karygodną nieobecność na mistrzostwach województwa zbyto krótką wzmianką. A dziesiątki, setki młodych chłopców wciąż widzą w zwichrowanym mistrzu swój ideał.

Przed wojną oficjalnie lansowano u nas teorię, nie mającą zresztą pokrycia w rzeczywistości, że armia powinna być apolityczna. Dziś wielu jeszcze działaczy i sportowców uważa, że sport powinien być apolityczny. Oczywiście nie chodzi o to, aby na olimpiadzie czy międzynarodowym spotkaniu drużyny rozprawiały o polityce zamiast zmagać się na stadionie, ale o to, by sportowcy z krajów, które szczycą się lepszym, sprawiedliwszym ustrojem społecznym, godnie swój kraj i ten ustrój reprezentowali, aby nie fascynowali się zagranicznym blichtrem pokazywanym przez okna autokaru, aby nie milczeli, gdy ich usiłują przekonać o słuszności agresji amerykańskiej w Wietnamie. Sprawa wykluczenia z najbliższych igrzysk olimpijskich Republiki Południowej Afryki pokazała, że nie tylko my, czy kraje socjalistyczne, ale ponad połowa państw uczestniczących w przyszłej olimpiadzie nie mogła się zgodzić z polityką wewnętrzną tego kraju. Nie wmawiajmy więc sobie i innym, że sport i polityka to dwie różne dziedziny, że wystarczy znać się czy uczestniczyć tylko w jednej z nich.

W lipcu i w sierpniu niemal każdy klub urządza różne obozy dla zawodników. W tym też czasie ożywają Terenowe Grupy Specjalistyczne, w których może ćwiczyć każdy, kto tylko chce, niezależnie od przynależności klubowej. Ale bądźmy sprawiedliwi — jak wyglądają zajęcia na tych obozach poza samym treningiem? Nuda przerywana kartami i ping-pongiem. W roku ub. były już nieśmiałe próby nawiązywania kontaktów z miejscowymi działaczami politycznymi czy kulturalnymi, tu i tam urządzono spotkania z partyzantami. Te dobre przykłady trzeba upowszechnić, pogłębić. W owych Terenowych Grupach Specjalistycznych wydano na zakup sprzętu w ciągu ostatnich czterech lat — łącznie z planem na rok 1968 — około półtora miliona złotych. A na akcję polityczno-wychowawczą? Hm, wstyd napisać: ani grosza.

Od marca mamy wreszcie w Lublinie czynną piękną halę sportową. Pływalnia będzie dostępna dopiero za kilka miesięcy, ale to nie zmienia faktu, że sport w naszym mieście zyskał wreszcie doskonałą bazę materialną. W trzech skromnych pokoikach znalazł pomieszczenie także Wojewódzki Zespół Metodyczno-Szkoleniowy przy WKKFiT. O ile bezpośrednie szkolenie zawodników pozostawiono nadal klubom, o tyle Zespół ma zajmować się — zgodnie z regulaminem — „regulowaniem wszystkich spraw dotyczących kadry trenersko-instruktorskiej w zakresie ewidencji, analizy poziomu, kontroli i doszkolenia, oceny pracy, współpracy z zarządami klubów i trenerami w zakresie pracy szkoleniowej". Jak dotychczas, rozumiano przez to sprawy organizacji, treningu technicznego, różną robotę papierkową, no i od czasu do czasu coś z psychologii czy pedagogiki. Myślę, że w sformułowania regulaminu trzeba włożyć znacznie szerszą treść — pogłębić zagadnienia etyki i moralności, wprowadzić sprawy polityczne, być może nawet podstawowe pojęcia gospodarcze, aby i sportowiec orientował się, jak bardzo rozwija się nasza gospodarka, jakie są jeszcze jej słabości.

Ostatnio zorganizowano dla działaczy sportowych odczyt lektora KC PZPR, Kuratorium i WKKFiT przy współpracy Zespołu organizują kurs zaoczny AWF, na który zgłosiło się 80 osób. To dobrze, ale to dopiero początek. Jak wiele jest tu do zrobienia, niech świadczy fakt, że w jednym z większych klubów trener w czasie rzekomo wychowawczej pogadanki z podopiecznym wyznaje swoje najbardziej skryte marzenie: chęć posiadania taksówki...

Zapytajmy wreszcie organizacje młodzieżowe, czy i w jaki sposób uczestniczą w wychowywaniu i uświadamianiu politycznym młodych sportowców? Czy w ogóle wiedzą, ilu ich członków należy do tego czy innego klubu? Czy działacze, prelegenci i — nie bójmy się tego słowa — agitatorzy tych organizacji przychodzą na treningi, czy rozmawiają z młodymi chłopcami? Czy urządzają dla nich jakieś ciekawe w formie zajęcia, których celem jest ideowo-polityczne kształtowanie tych młodych chłopców i dziewcząt, ciekawych świata, ciekawych życia, chętnych do wielu spraw, zanim ich gorących serc nie pokryją szarfy i medale, zdobyte tylko i wyłącznie za sprawność fizyczną? To samo zresztą dotyczy organizacji związkowych, które najczęściej sens swego współuczestniczenia w życiu sportowym widzą w udzielaniu dotacji czy wytargowaniu od określonego przedsiębiorstwa środków transportu, zwolnień od pracy i upominków.

Może obraz, który namalowałem, jest zbyt czarny. Nie ulega wątpliwości, że pokaźna grupa zawodowych i społecznych działaczy sportowych wkłada w pracę wszystkie umiejętności, że wielu sportowców rzeczywiście może służyć za wzór. Chodzi mi jednak o to, aby tak było wszędzie i zawsze. I o szybkie nadrobienie zaniedbań w wychowaniu ideowo-politycznym. Właśnie w sporcie, który jest tak atrakcyjny dla młodzieży, który fascynuje tyle milionów ludzi w naszym kraju. Nie możemy zatrzymać się na półmetku. Startujemy z ludźmi młodymi, chętnymi do wielu poświęceń, podatnymi na nasze różnorodne oddziaływanie. Czy na metę zawsze przybywamy z takimi, jakich potrzebuje socjalistyczna Polska?

Stanisław Burakiewicz

Kamena str. 10

Listy do KAMENY

DRODZY!

Z uwagą przeczytałem kupiony w naszym kiosku ostatni numer „Kameny". Wzruszony byłem treścią oraz artykułami z mego rodzinnego regionu Ziemi Rzeszowskiej. Stamtąd bowiem pochodzę. Postanowiłem zaprenumerować ten ciekawy społeczno-kulturalny dwutygodnik. Cieszy mnie bardzo fakt, że środowisko rzeszowskie też przyczynia się do rozwoju kultury na swoim terenie. Oby tak dalej! Pamiętam kiedyś, jeszcze w latach międzywojennych, działalność kół młodzieży na terenie powiatu Jasło, skąd pochodzę. Odwiedzaliśmy się wzajemnie, my ukraińskie wioski, oni nasze, już wówczas panowała atmosfera szczerości i przyjaźni. Dlatego jakże dziwne było stanowisko ukraińskich nacjonalistów, którzy tę naszą przyjaźń między młodzieżą polską i ukraińską naruszyli. Pamiętam, że między nami nie było antagonizmów. Młodzi spotykali się często na wspólnych wieczorach, razem się bawili, ba, nawet zawierano mieszane małżeństwa, które dziś są szczęśliwe. Życzę Wam dalszych sukcesów w szerzeniu kultury, zwłaszcza w małych środowiskach miejskich!

Józef Marszałek
GARWOLIN 2

„PASJA KSIĘDZA PACIAKA"

Z pewnym zainteresowaniem przeczytałem w nr 8 „Kameny" artykuł o księdzu Paciaku z Radomia, który od dłuższego czasu zajmuje się, nie bez sukcesów, malarstwem. Nie jestem specjalistą od estetyki, ale pewien kontakt z malarstwem posiadam. Toteż zdziwiłem się niepomiernie, że według relacji Romualda Wiśniewskiego radomski malarz uprawia pop-art obok impresjonizmu i realizmu. Już sam fakt wyliczenia tylu przeciwstawnych tendencji artystycznych w obrębie twórczości jednego malarza mógłby nasuwać wątpliwości co do autentyzmu postawy twórczej tego malarza. Chodzi jednak o rzecz ważniejszą, a mianowicie, o to, że ksiądz Paciak z impresjonizmem, pop-artem i realizmem niewiele ma wspólnego; jego malarstwo najtrafniej można określić jako ekspresjonistyczne.

Tadeusz Zaborowski
RADOM

„NAUKOWCY I STUDENCI"

Zazwyczaj z zainteresowaniem czytuję relacje z dyskusji urządzanych przez „Kamenę". Nie zawiodłem się także na tej, która dotyczyła struktury uniwersytetów i wychowania moralno-politycznego. Sprowokowała mnie ona nawet do zabrania głosu. Doc. Ościk ze sceptycyzmem odnosi się do możliwości pedagogicznych asystentów — ze względu na ich młody wiek i brak przygotowania w tym zakresie. Całkowicie zgadzam się z doc. Ościkiem. W ubiegłym roku ukończyłem uniwersytet, tak że moje doświadczenia nie straciły świeżości. Moi asystenci nie dosyć, że mieli dość skromne przygotowanie profesjonalne, nikły jeszcze zasób wiedzy, co można jeszcze jakoś wytłumaczyć, ale postawa moralna wielu z nich pozostawiała wiele do życzenia. Student ma oczy otwarte i na zabawie widzi swojego asystenta na... powiedzmy oględnie — rauszu, widzi, że ten jego, było nie było, wzór człowieczy potrafi wychowywać tylko przez strofowanie za głośne rozmowy na ćwiczeniach...

I jeszcze jedna sprawa: postuluje się bliższy kontakt kadry profesorskiej ze studentem, przekroczenie tej bariery autorytetu, która — wyolbrzymiona — nie pozwalała na cieplejszy, szczerszy wzajemny stosunek. Tak, słuszny to postulat, ale dość ryzykowny. Miałem kiedyś profesora, który na każdym kroku demonstrował otwarty stosunek do młodzieży. Skończyło się na tym, że stracił zupełnie prestiż. No tak, ale to chyba wyjątek, którego nie można uogólniać. Sama zasada zbliżenia jest słuszna, a jej pomyślna realizacja zależy tylko od umiejętności... pedagogicznych profesorów.

Z poważaniem

J. H.
LUBLIN

„JAK Z TĄ ZADYSZKĄ"

Kolejny artykuł z cyklu „Miasto na dłoni", zatytułowany „Jak z tą zadyszką", a dotyczący Supraśla, przeczytałam z prawdziwym rozrzewnieniem, albowiem w tym właśnie miasteczku urodziłam się. Do informacji podanych przez p. Wiśniewskiego proszę dorzucić ciekawy fakt z odległej przeszłości tego wiekowego grodu. Otóż tu właśnie, spod pras miejscowej drukarni wyszło pierwsze polskie wydanie „Cyda" Corneilla.

Łączę wyrazy szacunku

Genowefa Małkiniuk
WARSZAWA

„MARKS CIĄGLE NIEPRZEKRACZALNY"

W związku ze 150-leciem urodzin Karola Marksa zamieściliście artykuł Zdzisława Cackowskiego pt. „Marks ciągle nieprzekraczalny". Jest to publikacja ciekawa, a co najważniejsze potrzebna. Piszę o tym, ponieważ jeszcze w ubiegłym roku na łamach „Kameny" pojawiały się artykuły o problematyce filozoficznej, lecz od kilku miesięcy głucho u Was na ten temat. Dziwi mnie to tym bardziej, że na nadmiar dobrej popularyzacji filozoficznej narzekać nie możemy, a potrzeby w tym zakresie są na pewno duże. Kto w końcu ma przedstawiać społeczeństwu panoramę myśli ludzkiej, jeśli nie prasa, kto ma ludzi podnosić na wyższy poziom intelektualny, jeśli nie środki masowego przekazu? Artykuł w gazecie łatwiej przeczytać, niż trudną, napisaną fachowym językiem książkę filozoficzną. Niedawne wydarzenia studenckie udowodniły chyba w sposób dobitny, że nieuzbrojona ideowo, a więc także filozoficzna, jest w środowiskach młodzieżowych niepokojąca.

Tadeusz Kalinowski
LUBLIN

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

● Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych opracowała 4-letni plan rozwoju amatorskich zespołów artystycznych działających przy Zw. Zaw. Wśród istniejących obecnie 195 zespołów, 59 to zespoły dziecięce i młodzieżowe. Postanowiono m. in. zwiększyć liczbę zespołów, których uczestnikami są dorośli. Warto odnotować, że ponad jedna trzecia działających zespołów — to zespoły instrumentalne.

● W Muzeum Okręgowym w białostockim Ratuszu otwarto stałe ekspozycje: archeologiczną, historyczną, etnograficzną oraz galerię malarstwa polskiego.

● W ramach inauguracji Dni Oświaty, Książki i Prasy odbyło się w Białymstoku spotkanie autorskie znanej poetki warszawskiej, Anny Kamieńskiej.

● W Augustowie otwarto społeczne muzeum. Inicjatorami i organizatorami są: Towarzystwo Miłośników Ziemi Augustowskiej oraz Wydział Oświaty i Kultury PRN. Eksponaty (z dziedziny etnografii, kultury i sztuki ludowej) pochodzą głównie z darowizn osób prywatnych.

● Z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy, Białostockie Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych zorganizowało szereg interesujących imprez plastycznych. M. in. staraniem Towarzystwa otwarto wystawy: akwarel Witalda Kiewlicza oraz — grafików moskiewskich pt. „Moskwa w grafice".

KIELCE

● Wojewódzka Rada Narodowa w Kielcach wybrała nowego przewodniczącego. Został nim mgr Aleksander Zarajczyk, dotychczasowy sekretarz komisji do spraw rad narodowych w KC PZPR. Aleksander Zarajczyk urodził się na Lubelszczyźnie, pracował m. in. w KW PZPR w Lublinie, pełnił funkcję sekretarza KW PZPR w Rzeszowie.

● W związku z uroczystościami 50-lecia Muzeum Świętokrzyskiego został przygotowany interesujący okolicznościowy druk bibliofilski. Zawiera on historię Muzeum i jest pisany stylizowaną staropolszczyzną. Atrakcyjność wydawnictwa podnosi fakt, że zostało ono odbite na papierze czerpanym.

● Bardzo ożywioną działalność rozwija kielecki Klub MPiK. Oprócz licznych kursów języków obcych prowadzona jest interesująca akcja odczytowa. Szczególnie ciekawe są cykle odczytowe:: „Eksperymenty pedagogiczne" i „Rozmowy o sztuce współczesnej".

● W salonie wystawowym „Chemiplastyka" w Kielcach otwarto wystawę malarstwa kieleckiego artysty Antoniego Bieleckiego. Organizatorzy wystawy: Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych i Zarząd Spółdzielni „Chemiplastyka". W Klubie WDK „Wiedza" otwarto natomiast wystawę malarstwa Jerzego Skąpskiego.

● Jeszcze w bieżącym roku Technikum Sztuk Plastycznych w Kielcach otrzyma nowoczesne pomieszczenia. Oprócz gmachów lekcyjnych i pracowni plastycznych, zostanie równocześnie oddany do użytku budynek internatu.

LUBLIN

● Od chwili powstania (1957 r.) Wydawnictwo Lubelskie wydało 300 książek. Jubileuszową pozycją jest faktograficzna powieść Ryszarda Jegorowa — „Pajęczyna". Akcja toczy się podczas okupacji na terytorium województwa lubelskiego.

● W Ogólnopolskich Spotkaniach Teatrów Studenckich, które odbyły się w dniach 9—12 maja w Krakowie, 22 teatry z całej Polski zaprezentowały ponad 30 spektakli. Lubelszczyznę reprezentowały Teatr Akademicki UMCS „Gong 2" oraz Teatr AM „Dren 59". O wysokiej pozycji, jaką zajmuje w artystycznym ruchu studenckim „Gong 2" świadczy fakt, że przygotowane przez ten teatr widowisko „Za! Kronika 1917r." zdobyło II nagrodę.

● Nad lubelskim kinem „Staromiejskie" objął patronat Zarząd Miejski ZMS. Stawia on sobie za cel prowadzenie działalności kulturalno-ideowej wśród młodzieży interesującej się filmem. Spośród kilku cykli filmowych na uwagę zasługuje cykl projekcji i spotkań pn. „Przeciw postawie kibica w życiu społecznym".

● Trzech znanych plastyków białostockich (prace dwu z nich reprodukujemy w bieżącym numerze) Jerzy Leggiewicz, Stefan Rybi i Mikołaj Wołkowycki wystawiało swoje obrazy w salach lubelskiego BWA. Ten sam zestaw był następnie wielokrotnie eksponowany w różnych miejscowościach województwa.

● Z okazji XXV-lecia Wojska Polskiego w lubelskim BWA otwarto wystawę malarstwa dzieci szkół z Lublina. Tematyka — „wojskowa".

RZESZÓW

● W Rzeszowie odbył się doroczny sejmik, w którym uczestniczyli przedstawiciele regionalnych towarzystw społeczno-kulturalnych oraz oddziałów naukowych Polskiej Akademii Nauk — z terenu Rzeszowszczyzny. Omówiono dalsze plany działalności, m. in. plany wydawnicze. Zebrani uchwalili rezolucję popierającą politykę partii; wysłano ją na ręce tow. W. Gomułki.

● 29 lat temu w Rzeszowie powstał Oddział Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Działalność Towarzystwa kontynuowana jest przez PTTK. Z okazji dwudziestolecia odbyły się w Rzeszowie uroczystości jubileuszowe pod protektoratem wiceprzewodniczącego CRZZ, prezesa ZG PTTK — Piotra Gajewskiego.

● Podczas walnego zebrania sprawozdawczo-wyborczego Oddziału Polskiego Towarzystwa Archeologicznego w Rzeszowie dokonano wyboru nowych władz. Prezesem został ponownie prof. Marian Aleksiewicz, sekretarzem — Aleksandra Gruszczyńska, a skarbnikiem Anna Szałapata.

● W salach BWA w Opolu otwarto wystawę prac rzeszowskiego plastyka Zygmunta Czyża.

● Klub MPiK w Rzeszowie organizuje interesujące imprezy dla młodzieży szkolnej. Są to seminaria historyczne w związku z turniejem o symboliczny puchar czerwonego sztandaru. Turniej ma na celu pogłębienie wiadomości młodzieży z zakresu znajomości postępowych i niepodległościowych ruchów społecznych. Podczas seminariów uczniowie wygłaszają przygotowane pod opieką pedagogów — referaty i pogadanki.

Informator akademicki (2)

Po maturze — przed studiami

W 9 numerze „Kameny" zamieściliśmy informator dla kandydatów na wyższe uczelnie — „Po maturze — przed studiami". Podaliśmy w nim informacje pozwalające zorientować się w specyfice wyższych uczelni lubelskich, a także najważniejsze dane związane z procedurą przyjmowania kandydatów na studia. Obecnie — zgodnie z zapowiedzią — drukujemy materiały dotyczące wyższych uczelni Białegostoku, Kielc i Rzeszowa. Przypominamy, że nasza informacja dotyczy studiów stacjonarnych.

Dane ogólniejsze (procedura przyjmowania na studia, sprawa stypendiów, zasiłków pieniężnych, opłat egzaminacyjnych itp.) zostały zamieszczone poprzednio; zainteresowanych odsyłamy do n-ru 9 „Kameny". Dziś podajemy jedynie informacje dotyczące opłat za noclegi w domach akademickich i wyżywienie podczas trwania egzaminów wstępnych, bo nie są one jednakowe na wszystkich uczelniach. Informacja o Wyższej Szkole Inżynierskiej w Rzeszowie jest niekompletna, ponieważ uczelnia ta nie uznała za stosowne udzielić nam informacji.

Białystok

AKADEMIA MEDYCZNA
ul. Kilińskiego 1, tel. 220-21 do 26

Rektor — prof. dr Ludwik Komczyński. Prorektor d/s nauki — prof. dr Karol Buluk. Prorektor d/s klinicznych — prof. dr Stefan Soszka.

Wydział Lekarski.

Obowiązuje egzamin pisemny z biologii, fizyki, chemii i języka obcego nowożytnego. Egzamin ustny sprowadza się do rozmowy pozwalającej zorientować się w przydatności kandydata na studia medyczne.

Na Akademii Medycznej studiują 1653 osoby. W roku akademickim 1967/1968 przyjęto na pierwszy rok studiów 247 osób, kandydatów było 662. Studia trwają 6 lat.

Podczas egzaminów wstępnych kandydaci mogą korzystać z noclegów w domu studenckim i ze stołówki studenckiej. Łączna opłata — 23 zł dziennie.

WYŻSZA SZKOŁA INŻYNIERSKA
ul. Grunwaldzka 11/15, tel. 223-93

Rektor — dr inż. Włodzimierz Chomczyk. Prorektor d/s nauczania — dr Eugeniusz Niczyporowicz.

Wydziały:

Budownictwa Lądowego, Elektrotechniczny, Mechaniczny.

Na wszystkich kierunkach studiów obowiązuje egzamin pisemny z matematyki, ustny — z matematyki i fizyki.

W Wyższej Szkole Inżynierskiej studiuje 1318 osób, z czego na studiach stacjonarnych — 715. W roku akademickim 1967/1968 przyjęto na pierwsze lata studiów 155 osób, kandydatów było 700.

Studia na wszystkich wydziałach trwają 4 lata.

Podczas trwania egzaminów wstępnych kandydaci na studia mogą korzystać z zakwaterowania w domu studenckim oraz ze stołówki studenckiej. Opłata za pierwszy nocleg wynosi 10 zł, za każdą następną dobę — 4 zł. Koszt całodziennego wyżywienia — 18,50 zł.

Kielce

KIELECKO-RADOMSKA
WYŻSZA SZKOŁA INŻYNIERSKA
Al. Tysiąclecia Państwa Polskiego, tel. 90-96.

Rektor — doc. dr inż. Bronisław Ślusarczyk. Prorektor d/s nauczania — doc. mgr inż. Mieczysław Pietrzykowski.

Wydziały:

Budownictwa Lądowego, Elektrotechniki, Mechaniki, Chemii (Garbarstwo), Transportu Kolejowego i Samochodowego (Eksploatacja Kolei).

Na wszystkich kierunkach obowiązuje egzamin pisemny z matematyki, ustny — z matematyki i fizyki.

W Kielecko-Radomskiej Wyższej Szkole Inżynierskiej studiują 1993 osoby, z czego na studiach stacjonarnych — 240 osób. W roku akademickim 1967/1968 przyjęto na pierwsze lata studiów dziennych 239 osób, kandydatów było 460.

Studia na wszystkich wydziałach trwają 4 lata.

Podczas trwania egzaminów wstępnych kandydaci mogą korzystać z zakwaterowania w domu studenckim. Opłata za pierwszy nocleg wynosi 10 zł, za każdą następną dobę — 4 zł. Całodzienne wyżywienie zapewniają Kieleckie Zakłady Gastronomiczne.

Rzeszów

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA
ul. Reymonta Boczna 2, tel. 68-57, 68-58.

Rektor — doc. dr inż. Antoni Woźniacki.

Wydziały:

Filologiczny i Matematyczno-Fizyczny.

Wydział Filologiczny:

filologia polska — egzamin pisemny z literatury polskiej, egzamin ustny z literatury polskiej i historii;

filologia rosyjska — egzamin pisemny z języka rosyjskiego, egzamin ustny z języka rosyjskiego oraz z literatury polskiej z elementami historii powszechnej.

Uwaga: kandydaci zdający egzamin z literatury polskiej będą pytani również z gramatyki języka polskiego.

Wydział Matematyczno-Fizyczny:

matematyka — egzamin pisemny z matematyki, egzamin ustny z matematyki i fizyki; **fizyka** — egzamin pisemny z fizyki, egzamin ustny z fizyki i matematyki; **wychowanie techniczne** — egzamin pisemny z matematyki, egzamin ustny z matematyki i fizyki.

W Wyższej Szkole Pedagogicznej studiuje 1861 osób, z czego na studiach stacjonarnych — 1154. W roku akademickim 1967/1968 przyjęto na pierwsze lata studiów dziennych 277 osób, kandydatów było 573 (do egzaminów przystąpiło 531 osób). Studia na filologii polskiej i rosyjskiej oraz wychowaniu technicznym trwają 5 lat, na matematyce i fizyce — 4 lata.

Podczas trwania egzaminów wstępnych kandydaci mogą korzystać z zakwaterowania w domu studenckim. Opłata za pierwszy nocleg wynosi 10 zł, za każdą następną dobę — 4 zł. Ze stołówki studenckiej kandydaci nie korzystają.

WYŻSZA SZKOŁA INŻYNIERSKA
ul. Wincentego Pola 2, tel. 40-81, 40-82.

Wydziały:

Inżynierii Komunalnej, Elektrotechniczny, Mechaniczny.

Na wszystkich kierunkach studiów obowiązuje egzamin pisemny z matematyki, ustny z matematyki i fizyki. Studia stacjonarne trwają 4 lata.

* * *

Uwaga: niezależnie od przedmiotów egzaminacyjnych związanych z obranym kierunkiem studiów, kandydatów do wszystkich szkół wyższych i na wszystkie kierunki studiów dziennych obowiązuje egzamin sprawdzający stopień opanowania jednego języka obcego nowożytnego (rosyjski, niemiecki, angielski, francuski).

KSIĄŻKI NADESŁANE

WYD. ŁÓDZKIE

Teresa Gabrysiewicz — Ariadna 67, Łódź 1967, wydanie I;

Zofia Lorentz — Końce w wodę — Łódź 1968, wydanie I;

Leon Gomolicki — Kiermasz — Łódź 1968, wydanie II;

Mirosław Kuźniak — Portrety, Łódź 1967, wydanie I;

Mirosław Mieszczankowski — Nie tylko w desce, Łódź 1967, wydanie I;

Adam Puto — Koncert w Nagłowicach, Łódź 1967, wydanie I;

Włodzimierz Piotrowski — Dole i niedole diabła Boruty, Łódź 1968, wydanie III.

Dzień na budowie

(Dokończenie ze str. 3)

niec kwietnia montowali dwa dźwigary dziennie.

— Zarobiliśmy w kwietniu koło czterech patyków każdy — wyznają, gdy pytam o zarobki. Potem w biurze okaże się, że to „koło" oznacza równe 900 zł, czyli razem po 4 900 zł na każdego. Opłaciło się uczyć, opłaciło zdobywać nowy w budownictwie zawód montażystów. No i w konsekwencji zmieniły się ich plany. Początkowo chcieli po zakończeniu budowy pozostać w wytwórni, wieczorami pomagając rodzinie w gospodarstwie rolnym. Jedni z tych robotniko-chłopów, na których w okresie pilnych robót polnych narzekają, a jednak bez których nie może się obejść prawie żadna budowa czy fabryka.

— Niech tam sobie biorą więcej maszyn z kółka — powiadają Zych i Kwaśniewski — a my już zostaniemy w budownictwie. Może przeniesiemy się na budowę cementowni w Chełmie, może za rok, gdy tu już skończy się robota, po drugiej stronie drogi zacznie się budowa cukrowni...

Półtora roku temu, gdy zaczynano budowę zakładów ceramiki sanitarnej, pierwszym obiektem był parterowy baraczek. Wtedy wyglądał nawet dość nobliwie. Dziś prawie go nie widać w cieniu wielkich hal. W jednym z pokoików pracuje dyrektor inwestycji Tadeusz Niemiec — człowiek, o którym kiedyś pisały wszystkie gazety w Polsce. Gdzieś w roku 1952 był dziewiętnastym z kolei dyrektorem wytwórni porcelany w Ćmielowie. Przyjął nominację pod warunkiem, że otrzyma pieniądze na rozbudowę starej, przedwojennej fabryki i, że na pewien czas dostanie zupełnie swobodną rękę w kształtowaniu stosunków wśród skłóconej wtedy załogi.

Dyrektorował w Ćmielowie 12 lat. Fabryka zmieniła się nie do poznania, zdobyła sobie wysoką markę na rynku krajowym i w wielu krajach całego świata. Kiedyś na jakimś zebraniu w Warszawie wyliczono, że trzeba zbudować nową fabrykę ceramiki sanitarnej. Gdzieś we wschodniej Polsce. Były trzy kandydatury wojewódzkie: Białystok, Olsztyn i Lublin. Ten ostatni na wniosek dyr. Niemca, który właśnie spod Krasnegostawu pochodzi. No i w silnej konkurencji udowodnił czarno na białym, że tu, w Krasnymstawie, będzie najlepiej. Wrócił więc w rodzinne strony i chyba tu pozostanie jako dyrektor gotowej już wytwórni. Aktualnie martwi się, jak najkorzystniej wydać 175 milionów zł, które mu dano na tę inwestycję, a poza tym już sobie układa plany przyszłej produkcji.

— To prawda — przyznaje — że odpowiednią glinę będziemy przywozić aż spod Bolesławca. Tyle, że teraz do przewiezienia pewnej ilości gotowych wyrobów potrzeba trzech wagonów kolejowych, a surowiec na taką samą ilość zmieści się w jednym. A widział pan na Targach Poznańskich kolorowe umywalki? Będziemy tu robili 40 proc. w kolorach, najpierw w dwóch. Na początku 1970 roku zaczniemy produkcję. Damy pracę 400 ludziom, już teraz mamy 500 zgłoszeń. Tu jest nadmiar ludzi do pracy, zwłaszcza, gdy mija sezon w Fermentowni i w Jajczarni...

Minął jeszcze jeden dzień pracy. Pękate autobusy rozwożą ludzi do okolicznych wsi — z budowy wytwórni, z ukończonej przed 17 laty Fermentowni Tytoniu i niedawno oddanej do użytku bazy Zakładów Jajczarsko-Drobiarskich. To wcale pokaźny zaczątek dzielnicy przemysłowej Krasnegostawu. Gdy dojdzie cukrownia, a może jeszcze coś innego, mały, spokojny Krasnystaw, w którym wcale nie tak dawno wodę do picia rozwożono konnymi beczkowozami, stanie się jednym z ważniejszych ośrodków przemysłowych województwa. Tak przecież było z Chełmem i Zamościem, Bodaczowem i Kraśnikiem, Poniatową i Werbkowicami, Świdnikiem i Trawnikami, tak dzieje się z Hrubieszowem (roszarnia) i Białą Podlaską (zakłady przemysłu wełnianego).

Skok w jutro nie odbywa się łatwo. Dyrektorzy LPBO telefonowali dzisiaj po całej Polsce, aby zdobyć resztę stali na całe 350 ton konstrukcji w Krasnymstawie. Kierownik budowy klnie w żywe kamienie, bo mocno próżnujący dzisiaj dźwig nie zarobił na swoją wysoką dzierżawę — 5 tysięcy zł za dzień pracy. Brygada Martyna gniewa się na zaopatrzenie, bo przysłano im nie takie młoty, jakie są potrzebne przy układaniu toru. Brygada Wiśniewskiego opaliła się na dachu czekając daremnie na następny dźwigar. Jak wiele jeszcze trzeba i tu i tam poprawić — w organizacji pracy, w zaopatrzeniu, w kooperacji — aby w dniu V Zjazdu posłać meldunek: wykonaliśmy bez usterek i przed terminem...

A jednocześnie, jak wiele zrobiliśmy — w kraju, w województwie, w każdym powiecie. Tak szczególnie gorące poparcie dla partii w marcowych dniach w tym właśnie miało swoje źródło.

Jerzy Dostatni

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: Konrad Bielski, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: Mirosław Derecki (redaktor techniczny), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystyki) i Romuald Wiśniewski.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i Ruch. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji: Lublin, ul. Graniczna 7 tel. 234-49

Korespondencję prosimy kierować na adres Lublin 1 skrytka pocztowa 131

Zam. 1373 11.V.68 C-4

Z ŻYCIA WZIĘTE

Zbrodnicza troska

NIEDAWNO prasa doniosła o epilogu sprawy, która przed paru laty zelektryzowała całą Polskę. Z budowy jakiegoś obiektu w Koninie czy Kole zginął ładunek radioaktywnych izotopów. Nikt nie wiedział, co się z nim stało. Poszukiwania objęły ogromny obszar kraju i wielu ludzi. Śmierć czaiła się wszędzie. Straszna, nie znana jeszcze w Polsce śmierć. Po pewnym czasie rzecz się wyjaśniła. Okazało się, że śmiercionośny ładunek ukradł jeden z pracowników przedsiębiorstwa. Na szczęście poza nim nikt nie miał kontaktu z izotopami. Na szczęście, ponieważ złodziej zamiast do komisariatu milicji odstawiony został do szpitala. Na długie leczenie choroby popromiennej.

Sprawa poszłaby chyba w niepamięć, gdyby nie krótka notatka prasowa z ostatnich dni. Doniosła ona o tym, że niefortunny złodziej izotopów wyzdrowiał, zaś prokurator, który prowadził przeciw niemu śledztwo, zrezygnował ze skierowania sprawy na drogę sądową. Można się zgodzić, że delikwent odcierpiał już za swój czyn i prokurator miał rację umarzając śledztwo. Ale gdzieś w głębi mózgu kiełkuje wątpliwość, czy przedstawiciel prawa nie działał zbyt pochopnie? Nie chodzi o ślepe domaganie się kary dla złodzieja izotopów, istotnie, poniósł już ją z nawiązką, rujnując sobie zdrowie, a spokój rodzinie. Wydaje się jednak, że proces przydałby się nie tyle po to, aby ukarać sprawcę kradzieży, lecz po to, żeby odsłonić przebieg kradzieży, a więc pokazać głupotę i niebezpieczną chciwość jednych, zaś niewypełnianie swoich obowiązków i beztroskę drugich. W sumie — po to, aby napiętnować i przestrzec. Zwrócić uwagę społeczeństwa na niepokojące zjawiska.

Ta wątpliwość nie daje mi spokoju. Ostatnio znalazłem nowe dowody, które ją utrzymują, nowe fakty, świadczące nie tylko o beztrosce tych, którzy zobowiązani są do przestrzegania pewnych obyczajów, ale o wprost karygodnym lekceważeniu interesu społecznego.

Oto dowiedzieliśmy się, że milicja po żmudnym śledztwie wykryła sprawców kradzieży bezcennych klejnotów z wystawy w Lidzbarku Warmińskim. Chwała naszej milicji za jej sprawność i skuteczność. Ale kulisy kradzieży są więcej niż żenujące. To nie był napad stulecia, skok przestępców, korzystających ze zdobyczy techniki, zderzenie się czujności strażników ze sprytem złodziei. W Lidzbarku nie było żadnej czujności, żadnego sprytu, żadnej techniki. Klejnoty leżały po prostu w zasięgu każdego, kto chciał je skraść. Przestępcy weszli do sali po drucie piorunochrona i zabrali skarby. Milicja prowadziła śledztwo przez dłuższy czas. Zmobilizowano tysiące ludzi, zaangażowano ogromne środki materialne. Odebrano przestępcom większość cennych przedmiotów, niektóre już zdewastowane. Oczywiście, złodzieje poniosą karę. Być może poniosą karę także ci, którzy nie dopilnowali, aby wystawa była odpowiednio zabezpieczona. Ale czy kara wyrówna koszty, jakimi obciążyły społeczeństwo długotrwałe poszukiwania sprawców kradzieży?

Ten wypadek dotknął społeczeństwo pośrednio. Ponieśliśmy straty materialne i — jeśli się tak można wyrazić — duchowe, związane ze zniszczeniem paru dzieł sztuki złotniczej. Ale niedawno zdarzył się wypadek, który pociągnął za sobą śmierć czworga osób: pod Lublinem samochód PKS „Jelcz" najechał na osobowego „Wartburga".

Katastrofy drogowe nie należą u nas do rzadkości. Ale to, co się stało pod Lublinem zasługuje na nazwę morderstwa. Popełnił je młody człowiek, który skradł samochód w bazie PKS i wyjechał wyszumieć się na zatłoczoną drogę.

Okoliczności towarzyszące wypadkowi są przerażające. Sądząc po wynikach wstępnego dochodzenia milicji, sprawca wypadku miał już bogatą przeszłość pijacko-złodziejską. Rok temu za kradzież motocykla i prowadzenie go w stanie nietrzeźwym został skazany na półtora roku więzienia, ale jak to u nas w takich wypadkach bywa, odezwało się u kogoś współczucie („taki młody, jeden kieliszek i nieszczęście") i przyszły zabójca czterech osób otrzymał zawieszenie kary. Nie było w tym ani ostrzeżenia, ani nauki. Wkrótce po rozprawie młody pijak rozbił samochód PKS. Zwolniono go z pracy. Też nic nie pomogło. Przyszedł do bazy, wziął „Jelcza" i... skutki znacie.

Właśnie, wziął „Jelcza". Zwróćmy uwagę na to, co jest wspólne dla tego typu spraw. Facet w konińskiej firmie bierze po prostu tak cenną i tak niebezpieczną rzecz, jak ładunek promieniotwórczych izotopów. Złodzieje z Lidzbarka Warmińskiego wchodzą do sali i po prostu biorą przedmioty o wartości 21 milionów złotych. Pijak przychodzi do bazy PKS i zabiera samochód. Jest w tym jakiś skandaliczny, wspólny mianownik.

Widziałem to, co zostało z nowego „Wartburga". Kupa pokrwawionego żelastwa, pomnik zbrodniczej głupoty i nagłej tragedii. Włos mi się jeży na głowie, gdy sobie pomyślę, ile jest w Polsce baz PKS-owskich, do których można wejść i wziąć sobie samochód, ile jest przedsiębiorstw, z których można zabrać bezkarnie śmiercionośny ładunek.

BAR

Rys. W. Fuglewicz

MINUTA MYŚLENIA

Humanistyka w kolorze zielonym

ZA Dni Oświaty, Książki i Prasy należałoby złożyć podziękowanie również temu ich sojusznikowi, jakim jest zielony listek. Listek, promyczek, strumyczek. Jakoś zużyte w zajęciach administracyjnych niezamienne części naszej psyche i naszego bios ulegają renowacji w tym kontakcie z zielenią. I jakoś wtedy łatwiej dajemy sobie radę w momentach krytycznych. Nawet kiedy zaczyna coś nie kontaktować w kooperacji z administracyjnymi czynnikami, których musi być wiele, łaskawa przyroda jakoś nam w ostatniej chwili pomoże. To podrzuci kawałek pogody, na skutek czego niepotrzebny okazuje się dach, to w system nerwowy sekretarza gromadzkiej rady wprowadzi element spokoju i optymizmu, to wreszcie samym swoim urokiem skompensuje nieudany punkt programu.

Cóż. Nie tylko „słowianie — lubimy sielanki", ale w polskiej wrażliwości estetycznej mieścimy dużo atencji dla ojczystego krajobrazu. Można ułożyć cały indeks utworów, którym natchnienie przyniosła geografia i topografia. Ot, na wyrywki: „Puszcza jodłowa", „Wisła", „Sad rozstajny", „Mazowsze" „Dzikie wino". A Lechoń? Toż właśnie tęsknota za tym naiwnym zwisem płaczącej wierzby i szeptem sosnowego lasu rzuciła go z któregoś tam piętra hotelu „Hudson" w Nowym Jorku.

Ludność wiejska ma owych zwisów i szeptów pod dostatkiem. Ale ci, którzy w Dniach Oświaty wojewódzkimi „Nysami" bywają rozwożeni stosownie do rozkładu imprez, często owe „spotkania z brzozą" mają za całoroczne doświadczenia swej bytności w pejzażu. Jest więc to dodatkowym honorarium za ich występy. I to honorarium nie lada jakim, z czego często nie zdajemy sobie sprawy. Np. — kto na pytanie o najcenniejszy dla człowieka składnik odpowie, że jest nim powietrze? Właśnie to, za które się nie płaci. Ale którego nieposiadanie się przepłaca. Życiem.

Więc uznanie należy się komuś, co owe Dni złączył z piątym miesiącem roku. Niby to rozkwit przyrody nie sprzyja kontemplacyjnym zajęciom umysłowym, jakie się łączą z odczytem, recytacją i dyskusją, ale praktyka wykazuje, że właśnie ten czas przynosi najkorzystniejsze owoce o skróconej nazwie „K-O". I nie ma w tym przesady. W maju nawet referat o czytelnictwie prasy ma atrakcyjność pogawędki przy kawie i adapterze.

Więc temat „Technika — humanizm" powinien otrzymać w nazwie jeszcze jeden człon: „przyroda". Mówi się i pisze o najdrobniejszych okolicznościach składających się na optymalne kierunki naszego cywilizacyjnego rozwoju. Po to, by je planować. A nie wspomina się o takim połężnym rezerwuarze tych sił biologicznych i psychicznych, jakim jest np. las, łąka, rzeka. Zawsze z tego zaplecza powracamy wzbogaceni i odrestaurowani. Jak z zielonego szpitala, który nam swe zabiegi zaaplikował bezboleśnie i nawet bez naszej wiedzy. Dlatego może, kiedy wracamy lekkim krokiem do domów, ani nam na myśl nie przychodzi alarm podnoszony przez publicystykę na temat dewastacji lasów. Właśnie: nawet nie chce się wierzyć, że takie dobrodziejstwo jak przyroda może być narażone na niebezpieczeństwo ze strony jej użytkownika.

Więc ten alarm warto będzie usłyszeć. Ale może jeszcze nie w maju, kiedy zwycięska ofensywa zieleni nie daje podstawy do sceptycznych nastrojów. Kiedy czysta zielona biologia taki odnosząc skutek na przeżycia ludzkie staje się — elementem humanistyki.

Ijon

BIG-BEAT

Trup padał gęsto

PANIE Redaktorze! Widzę, że „Kamena" radzi sobie świetnie beze mnie. Jedynie trzech czytelników zaniepokoiło się moim milczeniem. Leży właśnie przede mną list p. Zygmunta Stanisławskiego z Lublina, który pisze: „Drogi P. Jacku! Wprawdzie nie znam Pana osobiście, ale przy lekturze „Kameny" odczuwam jakiś niedosyt, kiedy nie znajduję Pana Big-beatu. Co się z Panem dzieje? Może pokłócił się pan z redakcją, a może też inne względy sprawiają, że przestał Pan pisać. Czyżby zabrakło tematów?..." A p. Adela Wiślicka z Kielc stwierdza bezpośrednio: „Nie wiem, Jacku, czy ten list dojdzie do Ciebie, bo już w dwóch numerach nie widziałem Twoich artykułów. Czyżbyś wyjechał z Lublina? Jeśli bywasz w Kielcach chciałabym, abyś napisał coś o komiksie, jaki zamieszcza „Słowo Ludu". Obejrzyj sobie te rysuneczki, przekonasz się, jak wyglądali rzeczywiście partyzanci". Jerzy Doryła z Augustowa zaprasza mnie znów do obejrzenia jego miejscowości przed letnim sezonem. Pisze, że krytycznych materiałów nie zabraknie.

Dziękuję za pamięć, przejął mnie ów niepokój moich miłych, nieznanych przyjaciół, no i za wskazanie dwóch tematów. Komiks „Słowa Ludu" obejrzałem sobie w redakcji „Kameny", która ów kielecki dziennik prenumeruje. Przy okazji rzuciłem też okiem na „Gazetę Białostocką", która postępuje podobnie drukując w komiksowym wydaniu (rysunki Sz. Kobylińskiego) „Czterech pancernych i psa". Muszę szczerze wyznać, że nie mam zdania w tej sprawie. Kiedy byłem w wieku szkolnym znalazłem na strychu przedwojenne pismo — nie pamiętam w tej chwili tytułu — które zawierało same komiksy. Od pierwszej do ostatniej strony. Trup padał gęsto, roznegliżowane kobiety tonęły w ramionach supermężczyzn. Chłonąłem tę lekturę mając wypieki na twarzy i żałowałem, że nie zachowało się więcej egzemplarzy tego — jakbym dziś powiedział — brukowca. Może więc w pewnym określonym wieku komiksy są potrzebne? Byle tylko robić je zręcznie i z jakimś sensem! I byle nie dopuszczać do tego, aby komiksy przygotowywali grafomani i pacykarze, bo wówczas partyzant będzie przypominać Tarzana, a hitlerowcy — złośliwe małpy.

Przypomina mi się inna historia. Kilku moich kolegów po obejrzeniu sztuki granej obecnie w Teatrze im. J. Osterwy — „Wiatr w gałęziach sassafrasu" oświadczyło z oburzeniem, że to potworna chała, kto pozwolił, aby marnować talent aktorów na takie dyrdymałki. Jeden, najbardziej „zaangażowany" powiedział wręcz, że to sabotaż, że powinno się surowo karać za propagowanie... amerykańskiego stylu życia. Kiedy słuchałem tych słów, zrobiło mi się jakoś dziwnie. Bo ów kolega, który teraz tak rozdzierał szaty, nie wypowiedział ani jednego słowa podczas pamiętnego marcowego wiecu w Chatce Żaka. Schował się wówczas za plecami kolegów i nawet żwawo klaskał w momentach, kiedy klaskać nie powinien. Dziś z emfazą zabiera głos, gromi, łaje, tak, jak by chciał nadrobić ówczesne „chwile słabości". Problem jest na pewno szerszy i nie dotyczy jednej osoby.

Wracając jednak do spektaklu, o którym mowa, nie jest on ani nadzwyczaj udany ani nadzwyczaj kiepski. Idziemy do teatru na farsę, może się nam ona podobać czy nie, ale sztukę trzeba jako farsę odbierać. A kto mówi o propagowaniu amerykańskiego stylu życia powinien być karnie przeniesiony z uniwersytetu do przedszkola w charakterze wolnego słuchacza. I jeszcze ze dwa, trzy lata powinien zaczekać na pierwsze lekcje z elementarzem Falskiego.

Nie polujmy na czarownice, bo ostatnie czarownice spłonęły na stosie w średniowieczu, nie mogliśmy im nic pomóc ze względów oczywistych. Nie odkrywajmy nagle, że pan X jest ostatnią świnią, bo świnią nikt się nie staje w ciągu dwudziestu czterech godzin. Co — przez dziesięć lat nikt nie mógł dojrzeć ryja i skręconego ogonka? Świnia udawała kangura? A może lwa? Trzeba było wobec tego szkolić treserów. Chyba szkoliliśmy po cichu, bo na treserów mamy teraz urodzaj. W tej roli zaczynają występować nawet kobiety o gołębim sercu.

Resumuję: krytykujmy. Krytykujmy otwarcie, z otwartą przyłbicą. Zachowajmy jednak takt, rozsądek i operujmy celną argumentacją. A kiedy już uderzamy w pana X, nie zapominajmy o panu Y, który może nie mniej zawinił, ale zdążył przedłużyć sobie kartę pływacką.

Bo z życia nie można robić „Balu w operze".

Jacek

Słownik poprawnej końszczyzny

Ryszard Podlewski

W TROSCE o tradycje, które Polaka od wieków łączą z koniem, przedstawiam publikację „Słownika", który prędko pozwoli nam ocenić jak wiele ma nasz język wspólnego z tym szlachetnym zwierzęciem.

Bowiem i o koniu można bez koń-ca! Zaraz się o tym prze-koniacie, kiedy usłyszycie, iż nawet Wieszcz w brudnopisie napisał: „O koniu uff! kto ciebie widział w naszym kraju"... Zalew samochodów i traktorów, acz groźny, nie przeraża nas, zobaczymy jeszcze, kto kogo po -konia! Koń ma wielką przewagę nad traktorem, gdyż nie rdzewieje, co w naszym dość wilgotnym klimacie, jest nie bez znaczenia. W tej dziedzinie nie walczymy o „pokoniowe współistnienie".

Wy-koń-czymy przeciwnika i wyciągnie koń-czyny. Potrzebne są nam wszakże odpowiednie koń-ferencje i koń-sultacje. Wynik potrafi przewidzieć nawet za-koń-nica. Popatrzymy na portrety naszych przodków, czyli ich koń-terfekty, czym byliby oni bez koń-cerzy, rum-aków i konia-ków?!

Dlatego sytuacja dzisiejsza budzi w sercach naszych pie-koń-cy ból, który nakazuje koń-sekwentnie domagać się zmian w koń-stytucji dla ocalenia koni.

Prawdziwy miłośnik koni ze wszystkich sztuk dramatycznych ceni najbardziej „Koń-duk" Bohdana Drozdowskiego, a potem dopiero „Damy i huzary", jako że huzarzy z koniem byli za pan brat. Z poetów najwyżej stawiamy Marię Koniopnicką i Ludwika Koń-dratowicza. Jeśli już lekkie piosenki to po „Lekkiej kawalerii", uwielbiamy te śpiewane przez Halinę Kuni-cką, a w językach obcych przez Connie Francis (fonet: koni). Tyle na dziś. Na tym za-kończę, ale wkrótce następny koń-tratak! Miłośnicy „Słownika" -koń-taktujcie się! Nasze hasło: „Wy-koniaj plan"!

Jedno jest pewne: ten pan nie czyta teraz „Kameny".
Fot. A. Weczer

Roman Wiśniewski

Wielkie serce

W CZASIE ostatniego roku przestudiowałem wiele podręczników. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki stałem się mądry. Potrafiłem zbudować simulator. Miał on ręce, włosy, oczy — jak twoje. Nauczyłem go twoich słów, a nawet przyrządzać herbatę prawie tak doskonałą, jak tylko ty to potrafisz. Nie udało mi się jednak wmontować mu serca. Pisałem do wielu instytucji naukowych zajmujących się cybernetyką, ale niezmiennie odpowiadano, że na obecnym etapie wiedzy nie jest to jeszcze możliwe.

Wreszcie miałem dość towarzystwa kogoś, kto nie potrafił się ani radować ani smucić i wynik mojej wielomiesięcznej, żmudnej pracy zawiozłem do zbiornicy odpadków. Gdy wypłacano mi należność, po twarzy sztucznego człowieka popłynęły łzy. Niemądrze mi się zrobiło, jak zwykle, gdy sprawiamy przykrość komuś, kto na nią nie zasłużył. Chciałem zwrócić pieniądze i zabrać mego człowieka z powrotem, ale był on już własnością państwową. Serce kierownika zbiornicy — jeżeli idzie o interes społeczny — było tak twarde, że dopiero druga butelka eksportowej zdołała je zmiękczyć. Doskonały mechanizm, który na podłość zareagował łzami, znalazł się znowu w moim pokoju. Niestety, łzy były ostatnią oznaką jego życia; nie poruszył się więcej, nie wyrzekł już ani słowa.

Zaniepokojony, wezwałem lekarza, który pokiwał tylko smutno głową i odszedł nie upominając się nawet o honorarium. Poczułem się bardzo samotny. Chciałem wyjść gdzieś, gdzie byliby ludzie. Na dworze padał śnieg, a ja nie miałem nic odpowiedniego z ubrania, gdyż wszystko sprzedałem na budowę mojej idée fixe. Sprzedałem także pozycje z literatury pięknej, dlatego nie mogłem zająć się choćby czytaniem. Na półkach leżały książki i pisma techniczne, które bezmyślnie zacząłem przerzucać. Wtedy natrafiłem na zeszyt — pamiętnik, pisany w formie listu do mnie.

O cały ten dzień za późno dowiedziałem się, że był to człowiek, który mnie kochał, który miał naprawdę wielkie serce.

Teraz zastanawiam się jaki mu sprawić pogrzeb, bo nigdy nie dyskutowaliśmy na tematy światopoglądowe i nie wiem, czy on był wierzącym, czy ateistą.

Jan Sztaudynger

Na Jubileusz
Marii Bechczyc-Rudnickiej

Nie wierzę, jako żywo,
Że jesteś tak sędziwą,
Chyba że w tym Lublinie
Czas szybciej płynie.

FRASZKI

Kazimierz Chyła

KSZTAŁCĄCA

Kształcąca jest rola jałowych narad,
ileż to na nich rozwiązano szarad!

POPRAWA

Odkąd wrócił z Canossy,
dyskretniej pisze donosy.

Z CMENTARZA

Wznoszą się rzędy nagrobków,
według stanowisk i zarobków.

Z HISTORII

W zamęcie i w chaosie,
niejedną ideę spalono na stosie.